

NASZE MIASTA



Ryc. 75.

CIESZYN

(1640).

(Ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Cieszynie).

»New Vermehrte Schlesische Chronica und Landes Beschreibung von Jacobo Schickfusio bis an das 1619 Jahr mit sehr vielen Nothwendigen Sachen vermehret und gebessert«.

Ks. IV. str. 124: »Die Stadt Teschen hat Herr Georgius Fabricius secundus, Poeta Laureatus und ein guter Theologus, welcher zehn gantze Jahr zu Teschen Hoffprediger und inspector Ecclesiarum gewesen, also beschrieben:

»Urbs Teschinensis a fundatore Cessimiro nominata et ante Pyasti multorum Regum et Principum progenitoris tempora ortum ducens non immerito commendari potest a loci amoenitate, fructuum ubertate et aliarum nationum vicinitate.

Amoena est, propter aeris salubritatem, Olsulae praeterfluentis, piscesque sapidissimos enutrientis utilitatem, et aedificiorum quorundam elegantiam in templis, arce Ducali, moenibus et Curia omnibus obviam: quae vera huius urbis sunt ornamenta et adiumenta.

Nam per templi duplicis in urbe fundationem Christiana religio et doctrina liberalis introducta. Per arcem tamquam Martis habitaculum et moenia, defensio necessaria contra vim omnem, omnemque impetum quaesita: per curiam iustitiae et disciplinae civilis cultus ita invecus est, ut inter cives vigeat pietas, vireat concordia, floreat honestas: exulet vero in vestitu luxur, in conversatione ambitio, iure privata illuvies quaevis.

Copiosa est et dives omni alimentorum genere, vel etiam pro precio leviori. Volatilia campestris et sylvestris etiam civibus inferioribus sunt communia. Praeter vina generosa, quae largissime ex vicina Hungaria advehuntur, Cerevisiam habet duplicem, alteram triticeam, hordeaceam alteram, Vallachis illis rigidis et ad necessitatem, et ad hilaritatem apprimè accommodatam.

Vicina tandem est aliis nationibus ac gentibus, cum quibus mercimonia commutat et familiaritatem fovet haut contemnendam.

Ab una parte Regnum Poloniae ab altera regnum Hungariae, a tertia denique Marchionatum Moraviae habet proxime adiunctum.

Hinc mercatum celebritas, hinc populorum frequentia et confluxus, hinc mercimoniorum varietas et multitudo.

Qui vetustissimam Principum Teschinensium originem familiamque totam scire desiderat, ad Pyastum se convertat«.

Z myślą o nowych drogach twórczości polskiej, o tematyce, związanej z historią kultury polskiej, pisał Stefan Żeromski w 1923 roku w »Sobizmie i postępie«: »Nieznierna dziedzina twórczości leży wśród... ludu... Mowa tu o ogromie legend, podań, klechd, historii, bajek, gadek, opowieści, przywiązanych do ruin, wzgórz, uroczysk, miejsc szczególnych, mających w każdej okolicy swe dzieje własne, żyjące zawsze w ustach ludu. Każda w Polsce ruina ma swą baśń, zniekształconą w sennym przypomnieniu... Zamek na nowo ożyje, gdy w czasie przedstawienia będą z jego pieczar wychodzić postaci legendy, a inne postaci będą się wynurzać nie zza kulis, lecz z zarośli i z opłotków przygodnych, które do każdej sztuki będą mogły mieć kształt inny. W tych to opłotkach mogą się przewijać przed oczami widza plastyczne kształty legendy, jej treść, rozmaita w czasie i przestrzeni, podczas gdy na głównej scenie będzie uwidoczniła najistotniejsza iścizna dramatu czy komedii. Widziałem niegdyś nie takie, lecz podobne przedstawienie w Szwajcarii, w Rapperswyli...

Oprócz legend ogólnoludzkich, znanych na całej ziemi i u nas, oprócz podań historycznych, istnieją jeszcze baśnie czysto polskie na tle religijnym, rolniczym i pasterskim, baśnie leśne o zbójach, a w ziemi krakowskiej, śląskiej i kieleckiej dawne ze średniowiecza, górnicze.

Na tle tych rozważań w kształt wyraźny ujęte zostały hasła programowe regionalizmu polskiego, ogłoszone w nrze 13—14 »Ziemi« w 1926

roku. Do nich nawiązując, wystąpił Władysław Orkan na X jubileuszowym Zjeździe Podhalań w Szaflarach tegoż roku z apelem: »My, zebrani na Zjeździe dziesiątym, zorganizowani w Związek synowie chłopcy Podhala, zwracamy się z apelem do synów wszystkich ziem na obszarze Polski, które jeszcze w niwelacyjnym procesie nie zgasły, aby wspólnie z nami jeli się odnowy i utrwalenia Rzeczypospolitej, budząc dumę odrębności swych ziem i dźwigając je pracą ku górze. Zjazdy coroczne świadomych synów danej ziemi niechaj będą początkiem«. Nie pozostały głuche na apel artystów i mistrzów słowa — ziemi nasze. Z inicjatywy Ministra Spraw Wojskowych, gen. Tadeusza Kasprzyckiego — Towarzystwo Przyjaciół Huculszczyzny, a następnie Związek Ziem Górskich po raz trzeci — po Zakopanem, Sanoku — w br. w »Tygodniu Gór« w Wiśle — »wskazania« Orkanowe świetnie urzeczywistniać począł.

Może powiedzieć słowami Władysława Orkana: »Widzę już powstające za naszym przykładem: Związek ziemi krakowskiej, rzeszowskiej, lubelskiej, kieleckiej, łowickiej itd., na Zjazdach się dorocznych odwiedzających. Inteligencja wspólnie, w jedność zupełną z ludem ziemi te — przez rozwój ich wartości odrębnych — ku kulturze wspólnej dźwigająca. To jest właśnie tworzenie demokracji istotnej — tworzenie zrębu. A ponad tym kopuła Zarządu, z najlepszych, przez ziemi delegowanych: jako idee części w jedność z całością wiążący »Związek ziem«.

WIDOWISKA TYGODNIA GÓR W WIŚLE: 15–22.VIII 1937

Udało się Janowi Plucińskiemu ze Spisza porównanie w przypowieści o Panu Jezusie i św. Piotrze:

»Te 32 trześnie — powiadał — co je Poniezus chyboł za sie, to nase 32 rodziny góralskie ozrucone od Wisły jaz po oba Ceremose, po wirsyckak, po upłozak, po dolinak. To nase

pieśnicki, muzycka i tońce, to nasa mowa i zwyki, co f nik dusa narodu siedzi. Ale sie nik ku tym dorodnym trześniom zgiać nie kciół...«

Zgięła się ku nim Komisja Swojszczyzny Związku Ziem Górskich, która zorganizowała widowiska regionalne tegorocznego Tygodnia Gór w Wiśle. Imprezie tej, która nowością formy

i treści zaskoczyła widzów, przyświecały następujące założenia. Dotychczasowym zjazdom górskim zagrażać zaczęła czcza jednostajność w doborze programu widowiskowego. Strój, taniec, muzyka i śpiew, oderwane od obrzędowego momentu, zwyczaju lub zabawy, z konieczności stawały się sztucznym urywkiem bogatej społecznej i artystycznej kultury ludowej. Należało te kosztowne kamienie oprawić w złoto, a na scenę stadionu Wisły wprowadzić nowe

treści. Przeprowadzenie tego założenia, wymagające olbrzymiego wysiłku, było zamierzeniem ryzykownym. Wszak przyzwyczajono nas do tego, że ze wszystkich obrzędów ludowych wartość widowiskową posiada jedynie wesele. Był czas — właśnie w okresie kryzysu — kiedy rozweseliły się wszystkie ziemie Polski. A na domiar złego nad teatrem ludowym zaciążyły niebezpieczne stylizacje podrzędnego autoramentu, maniery teatrów amatorskich, tzw. inscenizacje



Ryc. 76.

Fot.
W. Pikiel.

MIESZCZANIE ŻYWIECCY W POCHODZIE.



Ryc. 77.

GÓRALE Z JURGOWA.

Fot. W. Pikiel.

wierszy, wzorowane na dziecięcych zabawach w przedszkolach i inne grzechy ciężkie, a powszednie. Trzeba było przypomnieć rzecz na pozór wszystkim jasną: jeśli strój ludowy jest piękny swą krasą autentyczną, jeśli taniec ludowy jest piękny bez poprawek choreografa, jeśli śpiew i muzyka ludowa ma wartości artystyczne i nie życzymy sobie ich modnego fryzowania — tak samo traktować się winno obrzędy ludowe, zwyczaje i zabawy.

Ośmiodniowe występy 32 zespołów góralskich utwierdziły nas w przekonaniu, że film polski, teatr, muzyka i inne dziedziny sztuki polskiej w szlachetnej prostocie prymitywu, głębi obrzędowej treści, w archaicznych zabytkach artystycznej kultury ludowej znaleźć mogą źródło odżywcze. Nieprzebrana obfitość materiału zmusza nas jedynie do pośpiesznego, naszkicowania konstrukcji tego barwnego korowodu zespołów, z których każdy odmienne skarby przywiózł na Święto Gór.

Zaczęli górale żywieccy z Korbielowa pod Pilskiem. Zabłysła w półmroku duża, świetlista

gwiazda kolędnicza i przy wtórze świetnych kobz rozległ się jednogłosowy śpiew starej pastoralki. Radują się słuchacze, że kobziarz Mróz nie jest mistrzem jedynym, jak im tylekroć mówiono, radują się oczy, że od 30 lat zaginiony, piękny strój górali żywieckich odżył na nowo. A kolędnicy rozsiewają błogosławieństwo urodzaju:

Zeby sie wom rodziło, syćko dobrze wodziło,
Na tyn Nowy Rok.
I cielicki lysiaste i bysicki brzusiaste,
Tak to Boze dej.
Kwacuski okrągłe, buroki pociągłe,
Tak to Boze dej.
Kapusta głowiasto, psynica kłosiasto,
Tak to Boze dej.
Owiesek wąsaty, gospodorz bogaty,
Tak to Boze dej.

Ledwie uciął dzwonek rytmicznie potrząsanej gwiazdy, wchodzi dziewczynka z Radziechów, niosąc w ręku podłaźnicę, tj. gałąź choiny, strojną w barwiste wstążki i znów litanią życzeń obsypuje gospodynię, aby miała »pełno w obozrze i komorze«. Zatknąwszy podłaźnicę nad



Ryc. 78.

PODHALANIE Z KOŚCIELISK.

Fot. W. Pikiel.

drzwiami i oknami, aby z tych miejsc magiczną spełniała rolę, uchodzi, bo już słyhać czeredę nowych kołędników.

Są to »Ślachcice« z Szarego. Naprzód anioł zapowiada, że »śliczna lelija na świat się zrodziła«, potem przedstawia się szlachcic, ulan z gwardii Kościuszki, który przypomina, że walczył za wolność wszystkich »i twoją, ty nie wiesz, kochany bracie, którą dzisiaj w swoich marzeniach macie«, po nim znów masarz, »świń zbójca«, wywijając nożem, przechwala się swym talentem, a gorolicek od Rycerki wygłasza pocieszającą tyradę w rytm skoków i drewnianego chrzęstka, którym uderza się po łydkach. Wreszcie przyzywają pielgrzyma. Jest nim żyd brodaty, który, przyjąwszy na się rolę średniowiecznego przekupnia relikwii, sprzedaje jabłuszko z raju, dzwonek loretański, podkówkę Bożego osiołka itp. Zmieniają się sceny jak w szopce, bo, wiadomo, na Gody drzwi nie zamykają się od kołędników.

Chwila ciszy, a potem — co to? Gromada przebrańców z Kamesznicy wpada na scenę z ru-

morem i krzykiem. Niedźwiedzie kudłate, lajkoniki w jaskrawym stroju, małpy, diabły, przeróżne posmolone poczwary i maskary, stwory cudaczne, powróslami słomianymi okrycone, wrzeszczące, tańczące opętańczo lub strzelające z ośmiometrowych batogów. Sfora ta rzuca się na widownię. Kudłate przebrańce przesadzają barierę, sieją przerażenie wśród dzieci, porywają widzów w krąg swego szalonego tańca, którym diabeł czerwony kieruje i znikają — ścigani huraganem oklasków.

Gdy górale żywieccy przemawiają autentycznością prymitywu obrzędowej formy, to górale śląscy artyzmem dwugłosowych pieśni i dobrze zgraną muzyką z kobzami. Gdy wiślanie zaśpiewali koledę dla gazdoszka, dla Haniczki i owczarzyczka (»Anioł zwiastuje owczarzyczkom, radość oznajmuje pasterzyczkom«), w rozdźwięczonych tonach śląskiej mowy wyrażała się już inna jednostka geograficzna i kulturalna.

Podhalanie z Kościelisk inne znów motywy obrzędowe Godnich Świąt przypomnieli. W gazdowskiej izbie stół sianem się nakrywa, ojciec

opłatkiem się dzieli z rodziną, kiedy sąsiedzki gazda przychodzi »w podłazy«. Z rękawicy dobywając owsa, rzuca na domowników i ich dobytek, życząc skocznymi rymy szczęścia, zdrowia i urodzaju, wreszcie bije młodych i starych woreczkiem pieniędzy po głowie, aby byli bogaci. Kiedy gościa za stół zaproszono, podłaznik przeobraził się w zręcznego namównika, a obrzęd doroczny połączył się wnet z wesołą zabawą, na której z brawurą wprawą tańczono góralskiego, zbójnickiego i drobnego, a raz po raz wytryskały ponad gwarem przyśpiewki »z wysokiej nuty«.

Zbójnicką nutę pokazali także Łapszanie ze Spisza w nieskalanie pięknym prymitywie jasełkowych scen, w których juhasi, Janosikowi towarzysze, wybierają się z darami do szopki betlejemskiej. Jeden z nich, wsparty na kij, owiec pilnując, w idyllicznej zadumie śpiewa głosem fujarki pastuszej:

Owce, moje owce, wy some bielice,
Wiera jo wysłuzym przy wos siubienice...

Potem, kiedy już przed »Betlejemkiem« (szopką) stanęli, dalejże nawoływać wilka. Przyszedł zbójca pod same drzwi, barania skóra na nim, a paszcza kłapiąca, jak u turonia. »Jaślickorze« poszturchują go ciupażkami, podważają laskami, jak lewarkami, aż go przed Dzieciątko doprowadzili. Teraz dopiero przypomnieli mu wszystkie grzechy, »ościongli wilcoska na gnoju, bili go pastyrze do znoju, a owiecki pomagały, kijów jesce dodawały pastyrmom, pastyrmom«. Rozradowali się juhasi, Dzieciątko zbójnickimi śpiewkami zabawiają, a potem przed szopką rubaszne figle gimnastyczne wyczyniają.

Hej, Łapszanie, jeszcze co innego wydziwiali. Do młodej mężatki przyszli rozśpiewaną gromadą, otoczyli ją kręgiem, położyli na ławie i sprawili jej »młodzionkowanie«. W rytm pieśni »Król Heród sie zafrasował, dziatki pobić dał«, bili delikwentkę łopatą od chleba po odwrotnej stronie medalu, by tym magicznym sposobem usprawnić ją do zadań matki. Potem za ręce się pochwytili, kręgiem otoczyli omłodziankowaną, bawili się i tańczyli, pohukując głośno: Uju, ju, ju!

Pogórzanie polscy z pow. gorlickiego pokazali znów, jak to na Nowy Rok chodzi się »po drobku«. Wpadają do domu »draby«, słomianymi powróslami okryte, w wysokich czapach stożkowatych, wyprawiają różne figle, dopraszają

się o gomółki, chleb i kielbasę, dyskretnie wzmiankując: »powiadała mi świnią, żeście jej zabili syna, a są dobre znaki, bo na gnoju kłaki«, podkreślają swą rolę sięwców urodzaju: »Gdzie drob przydzie, krowa sie ocieli, dziewczka za mąż wyjdzie«, porywają dziewczęta do tańca, rozbijają garnki, wreszcie, jak weszli, tak z rumorem wybiegają.

Odminną nutę do cyklu obrzędów Bożego Narodzenia wprowadzili Huculi z Kosmacza. Kołędnicy pod wodzą świetnego »berezy« śpiewali, a raczej recytowali w takt muzyki, niczym grecy aoidowie, pieśń epicką, której treść spokrewnia się z bylinami serbskimi i poezjami Wuka Karadżica. Hej, ty harny junaku — słyszało się w rytmach tej pieśni archaicznej — co z gór zjeżdżasz ku nam. Koń pod tobą, jakiego król nie posiada. Oczy ma przenikliwe, jak ciernie, uszy ruchliwe, jak liście, siodło złote, podkowy srebrne, ogon jedwabny. Złota grzywa konia pokrywa, srebrne podkowy ogień krzeszą, oczy cierniowe gwiazd wypatrują, uszy listkowe myśli szukają, ogon jedwabny ślad zamiata. Spłynął nasz junak w doliny i spotkał się z tureckim carem. Starł się z nim, aż ogień buchnął z szabel i konie na ziemię padły. Zerwał się junak, pokonanego cara powiodł ze sobą i zrobił go królem huculskiej ziemi.

Bylina, huculska bylina. A takich pieśni epickich ma Huculszczyzna wiele, tylko ich sława śpi jeszcze. To też widzowie ożywiają się dopiero wtedy, gdy »kolednykie« ugoszczeni przez gospodarza tańczą huculkę, hołubkę, a wreszcie »mikułyczynkę«, rozbitą na wirujące pary. Ale oto strzały dolatują z dala i zawodzący głos trembity. Zbliżają się kołędnicy od Żabiego. Idą gromadnie w ordynku, płasając, toporkami nad głową wywijając, a »bereza« z krzyżem w rękę na czele. Muzyka gra »płes« (płas), a kołędnicy dwójkami trzykrotnie przechodzą płasem przed domem. Bereza daje gaździe krzyż do pocałowania, gaździna przewiązuje go przędzą lnianą, trembitarz daje znak do »kruhlaka«, kołędnicy rzucają kapelusze i toporki u nóg gospodarzy, łączą się w koło, tańcząc i śpiewając »kruhlaka«, potem z toporkami chodząc w koło, tańcząc zbójnickiego (»opryszkiwsky«), a wreszcie cudnego, bojowego arkana. A w tym barwnym korowodzie słowo, gest, ruch — wszystko zespolone w jednolitą całość na podłożu obrzędowej treści.

Obrzędy zapustne reprezentowali Podhalanie z Poronina i Murzasichla oraz górale sądecki od Łącka. Poronińska »Burso«, która tyle zastrzeżeń wywołała ze strony purytan, jest hulaszczą zabawą organizacji parobków, której tradycje dziś jeszcze tulają się na Podhalu. W domu wyznaczonym przez wójta bursiańskiego zeszli się więc parobcy i różni biegace, osmoleni sadzą i okręceni powróslami słomianymi, pili na umór, śpiewali i hulali. Dziewczeta, chcące wziąć udział w tej rozpuście, musiały się okupywać. Wtem wbiega kumoter i oskarża jednego z bursianów o kradzież spyrki. Wójt przeprowadza parodię przewodu sądowego, po czym rozkazuje winnemu: »Lygoj, bracie, ta ferula będzie na cie!« Rozciągnięto biegacza na ławie. Wójt w rytmie »hajduka« zbliża się w przysiadach do delikwenta i buch go »ferulą«, kany trza. To samo czynią inni bursianie. Wreszcie cyganka rozbija o siedzenie biegacza garnek z węglami, wrzeszcząc: »Vivat, skończone bursiańskie prawo!« I znowu się bawią. Nawet dwóch parobków pobilo się na ostre. Wtem pa-

dają cztery strzały pistoletowe. We drzwiach ukazali się zbójnicy w Janosikowych czapkach. Teraz zabawa należy do nich. Idą przyśpiewki zbójnickie i krzesany i zbójnicki. A tańczą chłopcy na schwał, murzasichlańska rasa.

Sądecczanie zaś zrobili z turonia centralny motyw zabawy zapustnej. Żyd, żydówka, cyganie, policjant, dziad i inni przebrańcy tworzyli udane epizody, wprzęgnięte w szybkie, hulaszczę tempo. A kiedy turoń zdechl, cygan wódką przywraca mu życie, dziadówka z dziadem, tańcząc pociesznie, szaleje z radości, a rozbawiona gromada tańczy polkę zwyrtaną, polkę staroświecką na $\frac{3}{4}$, wreszcie sześciu chłopców — zbójnickiego. Widownia żąda bisowania, ale zabawa płynie dalej. Teraz zbójnickiego tańczy dwóch śmigłych parobków.

Zmieniają się obrazy, jak w kalejdoskopie, a każdy nowością treści i formy nie opatrzonej przykuwa wzrok i słuch.

W cyklu obrzędów wiosennych prym wiodą Krempaszanie ze Spisza swoją Marzanną, a raczej »Śmiertką«. Dziewczyna niesie w ręku ku-



Ryc. 79.

HUCULI Z KOSMACZA.

Fot. W. Pikiel.



Ryc. 80. Fot. T. Seweryn.
ŁEMKOWIE Z POW. JASIELSKIEGO
 »kozy-braty« się bodą.

klę ustrojoną, a chór dziewcząt i parobków w grynspanowych kamizelkach nuci: »Idzie Śmierka z miasta, Pon Jezus do miasta«, doprasza się o datki, a odchodząc, wesołe piosenki wyśpiewuje. Dziewczęta zaś z Istebny na Śląsku z »moiczkiem« pod dom »gazdoszka« przychodzą, śpiewając obrzędowe piosenki z nieustannym wdzięcznym refrenem »Moiczek zielony, pięknie ustrojony«, póki chłopcy za węglem chaty przyczajeni nie sprawią im oblewanki śmigustnej.

Śmigustny motyw wprowadzili też Bojkowie z Podhorodców w pow. stryjskim, odtwarzający »Nasz Welykdeń«, a raczej »hahilki«. Przed cerkwią zgromadzeni chłopcy i dziewczęta dzielą się jajkiem, a potem bawią się. Chłopcy chwyciwszy się za ręce, toczą taniec zwany krużok, a w środku dziewczęta, wzniosłszy ręce ku górze, tworzą malowniczą gwiazdę. Wszystko wiruje w szybkim, tanecznym rytmie. Nagle krzyk. To czereda chłopców, wypadłszy z boku, sprawiła tańczącym śmigus.

Górale żywieccy z Radziechów przypomnieli znów jeden z pięknych obrzędów połud.-zach. Polski, a mianowicie »stawianie mojki« przed domem dziewczyny, wyszczególnionej z całej społeczności wiejskiej opinią parobską. Drogą wiejską przechodzą parobcy i przy wtórze muzyki wyśpiewują wojackie śpiewki lub naradzają się, kogo mojką uhonorować. A kiedy pięknie ustrojoną jodelkę, przywiązaną do wysokiej żerdzi, postawili przed oknami wybranej dziewczyny, wybiegła z domu matka rozradowana i chłopców do izby zaprasza. Gdy muzyka za-

grała, zleciały się dziewczęta i wywijano siustanego, aż dyle dudniały. Mojkę stawia się 1 maja, a zdejmuje się ją na Zielone Świątki, przy czym znowu poczęstunek i zabawa. Inaczej odbywa się »ogrywanie mojki« u Spiszaków. Przed domem upatrzonej dziewczyny ustawiają parobcy dwa maje, tj. świerki z obciętymi u dołu gałęziami, potem przychodzą przed dom ze śpiewem »Na jaką pamiątkę moje stawiają« oraz pieśnią do św. Filipa i Jakuba, patronów dziewcząt na wydaniu — »a my moje stawiamy, o miłość twą żądamy«. Na czele kroczy starosta, niosąc na talerzu wianuszek panieński wstążeczkami zdobny. Z drużyny wybija się grupa dziewcząt, niosących mojkę i wiodących dokoła niej malowniczy taniec. Starosta przemawia. Wspomina o apostołach, którzy, przyszedłszy do jednej wsi, zobaczyli, że przed każdym domem wiecha stoi. Potem gospodyni kładzie na krzesło poduszkę i prosi pana młodego, aby usiadł, ale cygan kradnie poduszkę, hajducy go gonią, uczestnicy tworzą duże koło i tańczą »do saflicka«, »ołaskiego« (wałaskiego), spiskiego mazura, a raz po raz wyrывa się z gwaru głośne, charakterystyczne: Uju, ju, ju!

Do wiosennego cyklu obrzędowego należała też sobótka, rozniecona przez Orkanowych sąsiadów z Poręby i Niedźwiedzia. Krąg dziewcząt i chłopców to zbliżał się do ognia, to oddalał w rytmie krzyżaka, a bujne płomienie, buchające ze stosu, luną złociły tańczących. Wreszcie kukłę słomianą rzucono w ogień, zapalono żywicą w kozubkach z kory, a chłopcy, rozbiegając się na wsze strony, dokonywali oczyszczenia pól. Głuchły pohukiwanie, tylko z dala dola-



Ryc. 81. Fot. T. Seweryn.
SZCZYRZYCHANIE.



Ryc. 82. Fot. T. Seweryn.
GÓRALE SĄDECCY OD ŁĄCKA.

tywały okrzyki: »Opol Boże, moje zboże!« Podobne motywy widziało się w »Kupale« Łemków krośnieńskich z Hyrowej. Dziewczęta rzucały ponad ogniem wianki ku chłopcom, a który chwycił, wkładał dziewczynie wianek na głowę i razem z nią skakał nad ogniem. Na czerwonych chustkach i gorsetach, na czarnych zapaskach z kwiecistymi haftami, na białych spodniach i błękitnych kamizelkach rozlała się świetlista purpura. Nastrój pełen uroku, moment iszczenia się pradawnego mitu. »Świty misiaceńku i zore jasna« śpiewają, wnoszą kukłę słomianą i w skocznym rytmie pływają z nią wokół ogniska, po czym wrzucają na stos, wołając: Kupalo! Kupalo!

Do cyklu obrzędów żniwnych należy kilka uświetnionych obrazków z życia górali babiogórskich z Zawoi, chodzących »na Mazury«. Przed wyruszeniem na niziny żegnają się »Mazurniki« z rodziną i dziewczętami, a kosy oparłszy o ścianę, bawią się całą noc. Potem powędrowali w dółskie kraje. A kiedy stanęli u pańskiego łąnu, obwiązali się powróslami z żrącego żyta, żeby ich krzyże nie bolały, uklękli, kłobucki z głów zdjęli, a ich »przodowy« modlił się w głos o wytrwanie w pracy i naznaczywszy się znakiem krzyża — »hej, chłopcy, za mną!« Zgięci w pałąk, rytmicznie krocą, szerokimi zasiekami kos kładąc żyto. Kiedy pan ich odwiedził, obwiązują go powróslami, by się go zboże trzymało, a po otrzymaniu okupu zwalniają go ze słomianych więzów. Przpracowawszy całe lato, ku góróm tęsknią, z pieśnią »Do gór, chłopcy, do gór« wracają, wieś radośnie

ich wita, a teraz »mazurnicy« już sami zabawę fundują.

Pisarzowanie z powiatu limanowskiego pokazywali samą obrzędową stronę swych dożynek, wysuwając na czoło przodownicę z kłosnym wieńcem na głowie i pieśni, w których wyraża się radość z otrzymanych plonów i zaklinanie urodzaju w roku przyszłym. Jak maki, płoną czerwone chustki i białe zapaski, jak chabry modrzą się kamizelki spod białych płótnianek. Nawet w późniejszej zabawie taniec krzyżak dostrajał się do poważnej atmosfery obrzędowej wolnym i dostojnym tempem.

Prawdziwie uroczysty nastrój obrzędowy dały dopiero dożynki śląskie, wykonane przez tłumne zespoły z Wisły, Istebny i Ustronia. Orszak żniwiarzy, zbliżający się z pieśnią »Kto się w opiekę«, nadawał obrzędowi charakter religijny. Potem zabrzmiały skoczne tony milej śląskiej pieśni dożynkowej:

»Gazdoszku, gaździnko, do was wstępujemy,
Wszystkiego dobrego wam też winszujemy«,

przemówiła przodownica mądrze i pięknie, a gazdoszek Szatkowski odpowiedział żniwiarzom po gazdowsku, po czym z gromady kilkuset ludzi gruchła śpiewka: »Vivat, vivat zaśpiewajmy, gazdoszkowi cześć oddajmy«. A kiedy po sużej gościnie roztańczyła się rzesza, szły sprawnie w karby dyscypliny ujęte tańce, a więc owięziok i kołomajka Istebniaków, a rozpuszczona polka, trojak, kowol i kroczek Wiślan.

W cyklu obrzędów rodzinnych pokusili się Sąddeczanie z okolic Podegrodzia o odtworzenie chrzcin. Olśnili widzów efektownymi strojami, zdumieli półtorametrową kukielką chrzestną,



Ryc. 83. Fot. T. Seweryn.
SZCZYRZYCHANIE TANCZĄ SZEWCZYKA.



Pinx. Józef Pieniążek.

DRUŻBA I DRUCHNA Z JURGOWA NA SPISZU.

a z werwą i swobodą w prowadzeniu akcji świetnie wplatali w chaos zabawy to przemowę chrzestnego, to magiczne zabiegi celem ochrony chrześniaka przed nieszczęściem, to tańce: szewca, krzyżaka, szarpaka lub polkę tupańą czyli wściekłą. Poza chrzcinami szły długim szeregiem różne fragmenty weselne, w których wyladowywał się temperament tancerzy, śpiewaków i grajków. W Zrękowinach spiskich, odegranych przez Jurgowian, starosta weselny przemawiał w imieniu »św. Adama«, zaciekle targował się o młodą, ale nie motywy obrzędowe wybijały się na czoło. Olśniewały bujne wiechy z pierza u kapeluszy drużbów, ognista czerwień gorsetów i spódnic złotym szychem bramowanych, melodie o starych gamach doryckich i tańce. Więc pary zatoczyły koło do góralskiego spiskiego, potem cztery pary zbiegały się i rozbiegały w »ołoskim« czyli wałaskim lub juhaskim tańcu, wybijano czardasza, albo bawiono się w »gębusię« z przyklękaniem i »nie-

dźwiedzia« ze zrzucaniem kapelusza. Specjalne zainteresowanie wzbudził spiski mazur, w którym czterech drużbów w rytm starej muzyki wygrażają sobie, kładą się na ziemi na krzyż i drgają, odbijając się rękami od podłogi. Tańcem i to wysokiej klasy odznaczyli się Bojkowie z pow. turczańskiego, a więc prysiadami, kozakiem, czumakiem i arkanem. Szczególnie chłopiec tańczący czumaka z baletniczą gibkością i bojowy arkan w wykonaniu parobskiej gromady zdobyły sobie uznanie widzów. Bojkowie jednak z pow. doliniańskiego ograniczyli się do przedstawienia samego obrzędu wieńców, dając obraz o dużym wdzięku prastarych form obrzędowych. Starosta błogosławił barwinek, z którego drużki pletły wianki, śpiewając łatkanki. Uwite wianki składały na chleb, który kobiety porywały, na ławkach stawiały, do góry wianki podnosiły i trzykrotnie przez stół przeskakiwały, po czym z drużkami szły w taniec. Starosta zaś całował wianki barwinkowe,

wkładał na głowę młodym i dokonując sakralnej funkcji ślubu, wiązał młodożeńców ręcznikiem. Podobny motyw przedstawili Huculi z Żabiego w Swadbie, której pięknym momentem obrzędowym było wygłaszanie błogosławieństwa przez starostę, trzymającego chleb weselny w dłoniach: »Naj was Boh i Prawedne Sońce błahosłowyt«. Potem niezapomniany moment ogniście tańczonej huculki i arkana w wykonaniu przez grupę tehinów z junackim Solomijczukiem na czele. Mikuliczyńscy Huculi wyzyskali do swego widowiska nie tylko scenę i przedscenie, ale i drogi biegnące obok stadionu. Jesteśmy świadkami drugiego dnia wesela. Młoda żegna się z swym domem, chóry drużek zawodzą smętne łatkanki, wreszcie rozbrzmiewa wesola nuta huculki. Starosta, trzymając w ręku chleb i różdżkę, tańczy ze starościna, która również duży chleb trzyma. Wirują pary za parami i dudnią szybkim rytmem pieśni śpiewane z determinacką pasją. Wreszcie orszak wyjeżdża do cerkwi. Powrót do domu miał pierwszorzędne wartości widowiskowe. Zaroilo się od weselników na wozach i jeźdźców. Łehini lupią z pistoletów, konie rżą, grajkowie nie próżnują ani na chwilę, drużki śpiewają — wszystko zlewa się w rozgwar i chaos weselny, który dopiero uspokaja się w obrzędowych przemówieniach i zgranym tańcu »starowićkim«. Gromada cała toczy naprzód koło wielkie, potem mniejsze, które przechodzi w szybkie wirowanie.

Te same fragmenty weselne, ale w innej formie, pokazali Łemkowie z Kozusznego w pow. sanockim. Orszak weselny przybywa po młodą, do której starosta przemawia, jak kapłan i ojciec. Potem odbywa się ceremonia wręczenia buławy marszałkowi weselnemu, a chorągwi chorążemu. Wreszcie drużba żegna drzwi toporkiem i orszak rusza do ślubu. Po powrocie z cerkwi następuje efektowny moment dobywania się do drzwi oraz powitania młodożeńców przez matkę, która, trzymając na głowie chleb owinięty obrusem i odziana w kozuch obrócony na wierzch kudłami, trzykrotnie całą rodzinę obchodzi.

Łemkowie natomiast z pow. gorlickiego ograniczyli się do przedstawienia momentu, kiedy orszak weselny przybywa do domu pani młodej, a starościna dokonywa obrzędowego przepasania młodego chustką na znak zespolenia

go z nową rodziną. Ale do widzów przemawiali przede wszystkim świetnym śpiewem oraz polką łemkowską i potriasaną.

Zespoły polskie szczególnie upodobały sobie motywy Czepin. Wiślanie przedstawili ceremonię zdejmowania wianka, rozplatania włosów i zabawę z okupywaniem się żenicha, gdy nie zgadnie, która spośród trzech kobiet przykrytych obrusem jest jego żoną. Na ogół jednak traktowali weselisko, jako rewię śpiewów i tańców. A tak samo postąpili Szczyrzycanie z pogranicza ziemi krakowskiej i góralskiej. Olśniewali efektownymi strojami, wściekłą fantazją, junackimi przyśpiewkami drużbów i nową formą szewskiego, tańczonego do śpiewki:

»Hejże ino ho, szewc pocięgiel mo,
Klepie młotkiem po kopycie,
Bije babe całe życie,
Rozdymno sie, jakby król,
A z flasecki gul, gul, gul«.

Obrzędowym treściom czepin nadali świetną formę widowiskową Szczawniczanie. Po namowinach, obigrawce i błogosławieństwie energiczna



Ryc. 85.

Fot. »Photo-Plat«.

ŚLĄZACZKA Z WISŁY.

starościna usunęła družbów ku ścianie, a po otańczeniu pani młodej zawodzi lamentującą pieśń »Oj, moi mili rodzice« i dokoła dzieży oprowadza młodą, trzymając ją za chusteczkę. Drużbowie przeszkadzają jej w tej czynności, podstępnie wykradają młodą, a starościna po złożeniu družbom okupu przyzywa siostry, rodziców i pana młodego, oczepionej kładzie na kolanach placek weselny oraz talerz i wzywa weselników do składania datków na czepiec. A całą tę akcję okraszają ogniste tańce, w których gromada wyzyskuje całą szerokość sceny, cięte, dowcipne przyśpiewki, komiczne sytuacje i raz po raz tworzące się malarskie układy grup.

Orawiacz z Lipnicy Wielkiej w »Przewoźniach posogu« w innym utrzymali się stylu. Zajęły przed scenę wozy drabiniaсте. Wynoszą skrzynię wianną, sąsiek na zboże, poduszki i pierzyny. Śpiewy wpadają na śpiewy, pohukiwania, przepijania, gwar, hałas, świetny jarmark weselny. A kiedy pan młody kupił wianek i młodą oczepiono, weselnicy wrzucają pieniądze do wody w talerzu. Potem młodożeńcy myją się w tej wodzie, wzajemnie wrywając sobie z rąk pieniądze i znowu jarmarek i wir zabawy, w której wyżywają się wszyscy.

Bardzo interesująco, obok obrzędów dorocznych i rodzinnych, przedstawiały się zobrazowane zwyczaje i zabawy ludowe. Do tradycji sędziwych ludzi, a nawet kronikarskich zapisków sprzed 200 lat sięgnęli mieszczenie żywieccy, obrazując zwyczaj lokalny przenosin skrzyni cechowej od starego cechmistrza do nowoobranego. Z śpiewem pobożnym weszła na scenę bracia cechowa, niosąc obraz św. Homobona z Cremony, patrona cechu kunsztu krawieckiego, ładę cechową, wilkom-kielich gospody cechowej oraz znaki cechowe, krzyż i łokieć trójgraniasty. Stary cechmistrz wygłasza przemowę, jakiej nauczył się od wójta żywieckiego, sławetnego Andrzeja Komonieckiego z przełomu w. XVII i XVIII, wzywając, »żeby nasze prawa pogardzane nie były i nie zadał nam ktoś: A nasze prawa niby pajęczyna, bąk się przebijają, a na muchę wina«. Uświęcają te słowa bracia cechowi, śpiewając psalm 62 »Confirma hoc Deus«, a nowy cechmistrz odpowiada, dobro rodziny, cechu i Rzeczypospolitej mając na pieczy. Wiwatuje bracia na jego cześć i w pospólstwo zebrane dokoła rzuca garściami bułki z pełnych koszów. A potem »burkot«, za-

bawa cechowa. Schodzą się mieszczeni żywieccy w strojach sprzed wieku. Zaroiło się od tiulowych krynolin, krez, łoktuszy i fartuchów, usianych w fantastyczne kwiaty haftowane, od żupanów i pasów słuckich. A kiedy się rozwinięto w duże koło poloneza lub tańczono »szewieckiego«, zdało się, że stanęła przed nami zjawia pięknej, odległej przeszłości.

A potem »przedmieszczanie« samborscy, którzy strojem swym stanowią najdalej na wschód wysuniętą wyspę stroju krakowskiego, przypomnieli staropolską zabawę »Katarzynkę«, połączoną z wróżbami dla chłopców. Istebniacy znowu bawili się znakomicie na »Szkubaczkach«, wesołą pogwarką i figlarnymi przyśpiewkami odrywając dziewczęta od skubania pierza. A kiedy roztańczono się przy wtórze świetnej muzyki, jak z rogu obfitości sypały się coraz to nowe tańce śląskie: owięziok, kulany, owczor, żebrok, stołkowy, kołomajka i Bóg wie co.

Bojkowie zaś z pow. stryjskiego przemienili wieczernycę w jakiś fragment samorodnej opery ludowej. Cała akcja odbywa się przy pomocy śpiewu. Dziewczęta, które z przyjściem chłopców porzuciły przęślice, leją wosk i wróżą z cieniów ulanych figur. Jednej ułął się kot, co wróży kłopot, drugiej chata, co wróży dostatek, trzeciej cerkiew — więc wszyscy się cieszą, że wesele niedaleko. Śpiew dwugłosowy o pięknym sharmonizowaniu tonów, malarskie rozplanowanie grup tanecznych i śpiewaczych nadało temu fragmentowi operowemu dużo uroku. Śpiewem jednogłosowym, brzmiałym jak głos nieznane go instrumentu, popisywały się także dziewczęta łemkowskie z pow. jasielskiego, snujące przędzę z przęślic. A kiedy chłopcy przyszli na »weczniurek«, rozległ się śpiew dwugłosowy na wysokim stopniu artyzmu, tańczono chodzonego i kozaczka, który odpowiada naszemu krzesanemu, a wreszcie organizowano zabawy towarzyskie, spośród których najciekawszą była zabawa w »kozy braty«, znana we wsi Świeżowej. Jest to archaizmem zalatujący prymitywny dramat satyrowy. Kozy brat z przypiętą capią bródką i koźlimi rożkami oznajmia dziewczętom, że chciałby się ożenić, chwali się swym bogactwem, pięknnością i zgrabnością, pomagając sobie komiczną gestykulacją i mimiką. Dziewczęta wybierają spośród siebie coraz to inną żonę dla kozy brata, ale on grymasi, bo

żadna mu się nie podoba. Chwali się, że umie kosić, ale zamachnąwszy laską, uderza dziewczęta po nogach. Chwali się, że umie chleb wsadzać do pieca i z babą spać, a ciągle wypowiada się słowem, gestem i mimiką. Wtem wpada do izby drugi kozy brat, bodzie rywala, bije się z nim, a potem w najlepszej zgodzie oba kozy braty tańczą pociesznie, póki dziewczęta chludnięciem wody nie zakończą tego widowiska.

W zabawach jednak rej wodzili Spiszacy. Pa-robiskim figlom jurgowskim towarzyszyły nieustanne salwy śmiechu, gdy bawiono się w »sumara«, podciągano się na powrozie do spyрки położonej na sosrębie, gdy tłuczono »pęcoki«, ciągniono »kocury«, gdy klin klinem wybijano, ważono stodoły, cechowano las lub ścinano buki. Do rana nie skończono by tych figli, w których o złamanie gnata nie trudno. Gdy na widowni brzmiały oklaski, słyszało się wśród Łemków, Bojków, Huculów, górali żywieckich, sądeckich i innych: »Na przyszły rok my poka-

żemy co innego, a za tydzień nie skończymy«. W słowach tych tkwił właściwy wychowawczy sens organizacji widowisk regionalnych Tygodnia Gór. Samorzutnie budziła się inicjatywa wzbogacenia programu na lata przyszłe. Jak grzyby po deszczu pojawiły się stroje ludowe u pogórzan gorlickich, u górali żywieckich i zawojskich, choć niedawno jeszcze uważano je za doszczętnie wymarłe. Zaroiło się od strojów wiślańskich, ustronkich i mieszczańskich żywieckich, od tańców nie zanotowanych jeszcze przez etnografów, od obrzędów, które po raz pierwszy wciągnięte zostały na scenę. Ponad wierchami, rozrzuconymi gęsto na wielkim łuku od Wisły po Czeremosz, budzi się przedświt nowego renesansu, miłość i cześć do pięknej tradycji. Na dorocznych zjazdach dokonywa się wzajemne zbliżenie się wszystkich grup góralskich, którego hasłem jest: góry nas łączą, nie dzielą.

TADEUSZ SEWERYN

OD SOŁY PO OLŻĘ¹

I. Ucieczka. Nie rozwarło się wprawdzie na dobre piekło lata — lecz mimo to miasto w lipcu nie jest bynajmniej miłą siedzibą dla człowieka, który w nim cały rok bytuje, pracuje i gubi się w okrutnej szarzyźnie dnia. Rodzi się zatem już na wiosnę w każdym chyba mieszczechu szalona chęć: porzucić ten zakurzony śmietnik i uciec z niego choćby na zawsze — a choćby i na dni parę — na czas urlopu...

Pewnego dnia (lipiec, koniec roku pracy, pragnienie swobody i zmiany — urlop!...) zasnąłem formalnie wśród stosu książek bibliotecznych. Nie, — nie był to sen — widzę dzisiaj — jawa oczywista. Z wszystkich szaf, z wszystkich półek maszerowały na mnie — książki. Olbrzymie foliały ruszyły z półek dolnych, potem z wyższych, kwarta, ósemki. Z najwyższych padać zaczęły na ziemię maleńkie szesnastki. Wkrótce potworny motłoch książek ruszył na moje biurko z ponurym charkotem: »mamy cię dość, chcemy także swobody...«!. Spojrzałam na okno. Tam u stóp słońca spiętrzyły się całe stosy zakurzonych biedaków i... lada chwila otworzy się

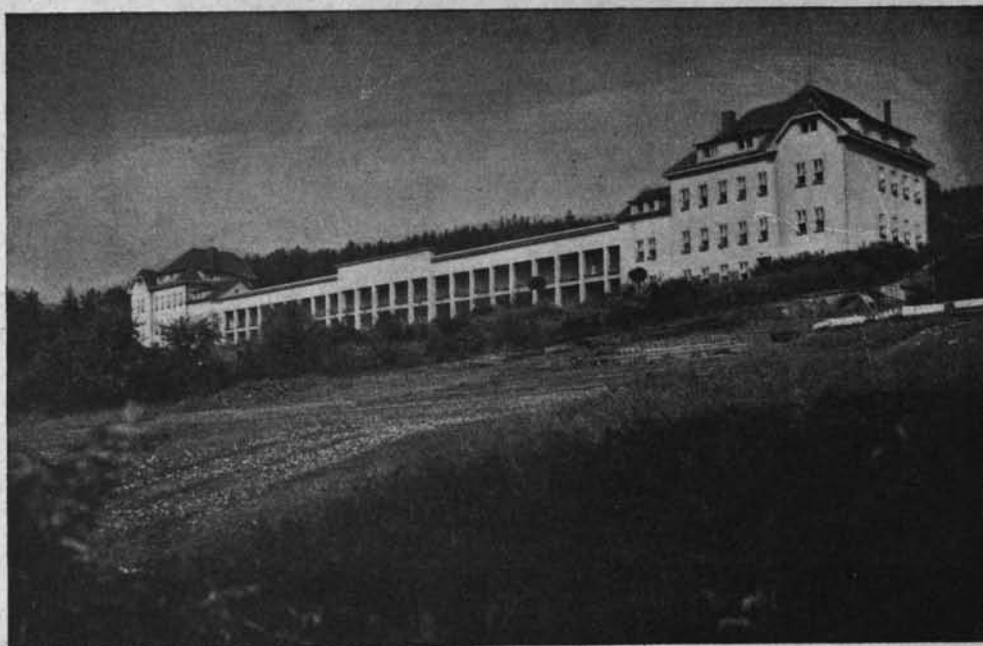
okno — runą na ulicę. Widok imponujący! Kiedy nawet ten martwy »żywiol« (w tej chwili był to »żywiol«, jak ogień, woda) niby brać więzienną, najoczywistej planował ucieczkę. Przerazenie moje było nielada. Tyle książek ucieknie w świat. Chyba zawołać straży pożarnej — ratować, nie pozwolić! Wiedza, nauka, kultura zagrożone — co robić? Lecz nagle przerazenie moje zamieniło się niemal w radość.

— Doskonale, pysznie!

A już chwila niebezpieczna nadchodziła. Oblężona byłam przez zbuntowane książki. Olbrzymie, groźne stosy spiętrzyły się przede mną, już na ramiona mi niemal wychodząc zwycięskim marszem. Cha! Cha!

Książki chcą wolności. A człowiek??? Przymierzcie chyba najlepsze. Dobrze, idźcie, idźcie sobie precz. Co za uciecha dla mnie. Obronnym krokiem wydobywam się z oblężenia i otwieram okna. Uciekajcie prędko, prędko — na słońce — na swobodę. Teraz dopiero odpocznę bez was,

¹ Praca wyróżniona na konkursie »Ziemi« na »Opis ucieczki krajoznawczej po Polsce« (p. nr 11/12 »Ziemi« r. 1935, str. 260).



Fot. H. Poddębski.

BYSTRA. SANATORIUM UBEZPIECZALNI SPOŁECZNEJ.

obrzydliwe pasożyty — pijawki ssące mózg i wolę. Uciekajmy razem!

Otwarte okna. Prędko, prędko.

Szeregi tomów rzuciły się ku oknom. A wówczas ja — otwieram drzwi i uciekam także. Uciekam od wiedzy, nauki — kultury, do słońca i wolności...

W domu zabieram pośpiesznie plecak, ładuję doń różne, potrzebne do wędrówki rzeczy — trochę prowiantów i — już mnie nie ma. Prędko, prędko, póki zbuntowane książki nie wrócą do swego więzienia.

Uciekam z przeklętego miasta — i przeklętej biblioteki — na wolność — na kradziony urlop 10-dniowy!

II. Łódź w miniaturze. Uciec, ale gdzie?!

Morze, moje kochane morze (zaszumiało mi w uszach potężnym grzmiotem fal) daleko — czas krótki. »W góry — w góry, miły bracie, tam swoboda czeka na cię!«

Może na święto gór? Właśnie, że nie. Tyle hałasu w górach. Czyż to jest święto dla turysty, uciekającego w góry po ciszę — po spokój — po pierwotność krajobrazu i przeżyć? Więc właśnie uciekam od święta gór — tam gdzie go nie ma — w Beskidy śląskie.

.

Ruszamy na zachód. Pierwszym etapem ognisko ruchu turystycznego w Beskidach — Bielsko-Biała (po przesiadce nieuchronnej w Dziedziicach). Małe obszarem miasto, a ruchliwe i zgiełkliwe — handlowe — przemysłowe — ognisko bielsko-bialskiej manufaktury, pierwszej w kraju, słynnych na całą Polskę sukien (to sukno) bielskich. Dzisiejsze Bielsko — Łódź w miniaturze. Już dobrze się od czasów austriackich spolonizowało, nie słychać już, jak dawniej — niemieckiego języka na ulicach miasta. Twarzy obcych mniej jakoś. Szyldy i napisy polskie. Więcej tu raczej żywiołu semickiego, niż germańskiego, przynajmniej na ulicach. W każdym razie chyba niemiecki nacjonalizm w Bielsku skończył bezpowrotnie swe panowanie.

Nie ma co długo marudzić w stolicy »Beskidenerverein«. Popasać trochę w ładnym »Cygańskim Lasku« i dalej w drogę!

III. U stóp Klimczoka. Wsiadamy w Bystrej. Tutaj kres jazdy pociągiem, a zaczyna się piesza, swobodna włóczęga. Bystra jest doskonałym punktem wyjścia dla wycieczek w Beskidy Zachodnie. Piękna, duża wieś, rozłożona u stóp Klimczoka, który dominuje nad jej doliną swym ciemno-błękitnym blokiem, rozpartym wygodnie pod niebem, jak granat. Pogoda przybiera ruchliwe, zmienne

fazy. Oto póki słońce i jasne chmurki nad Klimczokiem, wędrujemy śmiało po dolinie Białki, która dzieli Bystrą na śląską i krakowską (dwa województwa). Dwa sanatoria zapraszają do swych wnętrz gruzlików — w Bystrej piękne sanatorium Kasy Chorych (Ubezpieczalni Społecznej) i w sąsiednich Wilkowicach (proszę wysiadać — stacja Wilkowice - Bystra!) wielkie, imponujące sanatorium pracowników kolejowych. Wymarzone powietrze, niby górskie (400 m n. p. m.), a łagodne, jak balsam smaruje chore płuca, niemniej i zdrowe odżywia balsamem. Dużo will i pensjonatów, hoteli muryowanych, nowoczesnych, komfortowych. Jest gdzie mieszkać wygodnie i swobodnie. Lecz za dużo letników nie widzi się tutaj. »Gorszy ten rok, niż tamten« — biadają właściciele. I tanio (może dlatego), tanio. Cisza w Bystrej i spokój. Nawet na stacji (punkcie zbiorowym wywczasowiczów) ruch mały — a i goście zaglądają tylko ukradkiem. Wieczorem, zupełnie, jak za dawnych dobrych czasów, kopcą się naftowe lampy na »dworcu«. A dworzec nowy, ładny, w nowoczesnym stylu budowany. Wśród letników górują Ślązacy, mieszkańcy Bielska, Zagłębia, Sosnowca, Katowic — trochę Niemców i semitów. Poznać ich po pewnych sobie minach, pełnych

twarzach i hałaśliwej radości, jaką okazują na widok gór.

Były czasy, gdy Bystra była siedzibą artysty-malarza dużej miary — Fałata, który też uwiecznił jej wzgórza, mgły i lasy, w śnieżnej zwłaszcza szacie. Pozostała po nim »willa Fałata«. Wieczorami chłód łagodny i miluchny wiaterek szur — szur. Czasem zaświecą oczy samochodów, błyszczą światła w pensjonatach — a nierównie pięknie gwiazdy nad Klimczokiem (o ile nie chmurno), Magórą i Magórką. Nasyciwszy się Bystrą ruszamy na Klimczok.

IV. **H u r a g a n w g ó r a c h.** Droga z Bystrej na Klimczok (1.119 m) wygodna aż do pewnego kresu — skąd staje się nieco uciążliwa (wąska, leśna drożyna, kamienista, pnąca się stale w górę). Niestety górskie słońce schowało się za parawan z chmur — zagasło po południu i zaczęło się zanosić na burzę. Przeczekać maleńką burzę z ogromnym ulewnym deszczem, całkiem przyjemnie w jakiejś samotnej stodole pod lasem. Pachnie tu zwałami schnącego siana, plewami i zbożem — duszno, ciepło i ciemno, lecz jak zacisznie i miło wobec ulewy, walącej w dach i ściany.

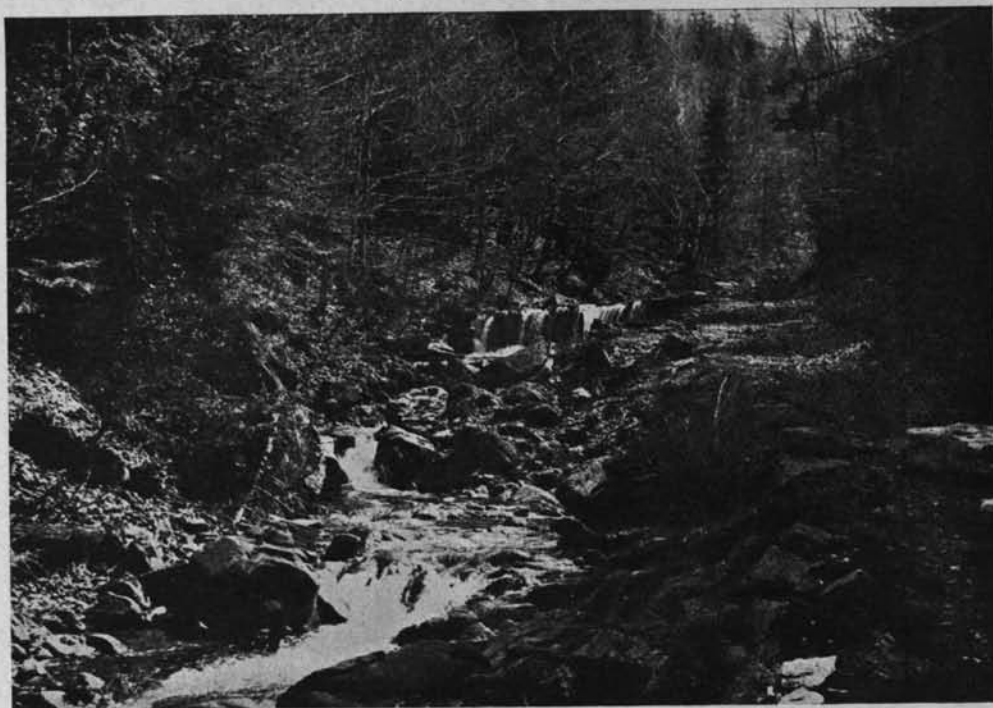
Skoro tylko przeszła krótkotrwała zawierucha —

Ryc. 87.



Fot. H. Podgębski.

WISŁA. DOLINA RZECI WISŁY.



Fot. H. Poddębki.

U ŹRÓDEŁ BIAŁEJ WISEŁKI.

ruszamy dalej. Las buczynowy, liściasty, mieszany — mało szpilkowych drzew. Zbutwiałe liście ścielą się mokrym dywanem, kryjąc kamień i mech. »Hej, hej po lesie echo dzwoni, wychodzi z lasu strzelców huf... Diana wyszła w las na łowy... Królowa dziwnie kraśnych drzew...« (Orkan).

Niestety pech na dobre, bo zaczyna siąpić znowu — niebo, jak szary proch. Co do licha, tak niby blisko na tę górkę, a tu nie idzie! Znowu pogoda i znów otucha. Dochodzimy do schroniska »Beskidenvereinu« na »Szędzielnej«, czyli, jak Niemcy niespodziewanie ochrzcili, »auf der Kamenitzer Platte« — co pocziwcy tłumaczą po polsku na orientacyjnych tablicach „na Kamienickiej płycie” (sic!!!). To już ktoś gdzieś lepiej poprawił »na hali«, bo do licha jeszcze w naszych górach nie ma płyt — są przecież hale! Ta »płyta kamienicka« — to całkiem przyzwoita, piękna polana — niestety mgły podwieczorne tak zasłoniły horyzont, że tylko słabe odbłaski światła Bielska i Dziedzic można było zobaczyć z tarasu schroniska. Ten »Schutzhause auf Kamenitzer Platte« imponuje swym stylem — piękne schronisko — a we wnętrzu komfort, łazienki, telefon. Tylko nie ma miejsca — wszystko zajęte i trzeba ruszać dalej —

choć nadciąga porządna burza i noc. Skąd tylu turystów w schronisku — skoro ruch widać całkiem mały — jakkolwiek przed świętem. Dowiedzieliśmy się później, że to stali mieszkańcy pensjonatów (7 zł dziennie) opanowali schronisko, stąd nie ma miejsca dla prawdziwie potrzebujących noclegu włóczęgów górskich. Kto troszkę słaby na płuca, osiedla się dzisiaj w schronisku (wys. ok. 1.000 m), dobre powietrze, menu, a co tam turyści — niech śpią na deszczu pod gołym niebem. Zaiste system ten, uprawiany coraz bardziej przez górskie schroniska, nie jest chyba racjonalny. Niedaleko schroniska na Szędzielnej mijamy doskonałą skocznnię dla narciarzy. »Uciekam przed burzą — nadciąga straszny huragan — niech państwo zawrócą, przeczekają burzę, nie można dalej iść!« — ostrzega spotkany w drodze do następnego schroniska — gajowy, wysoki, zielony pan — ze strzelbą na ramieniu. Ale gdzie się schronić? Idziemy do schroniska Klementynówki. W tamtym »nie ma miejsca«. Burza rozwyła się na dobre. Straszliwy huragan runął z całą mocą na Klimczok, na lasy, na... nas — w drodze. Tu wali się drzewo, tam trzaska piorun — tu lśni srebrem błyskawica — tam cwałuje na niebie czarna, jak smoła, upiorna wprost chmura — a woda płynie z nieba

całymi falami, strugami. Drzewa nie dają prawie żadnego schronu, wąska drożyna leśna ginie w ciemnościach burzy i nocy. Psiakrew! Co za droga. Byle nie zbłądzić, dojść wreszcie po tych sadzawkach do Klementynówki!

Zupełnie do suchej nitki przemoknięci wdarliśmy się do »Klementynówki«, goszczącej zaledwie kilku gości, także zupełnie zlanych włóczęgów. Sucha bielizna, odzież, dobra mokra kolacja — milutki pokój z łózkami materacowymi (to się nazywa nocleg »na materacie« (sic) — wedle drukowanych bloczków schroniskowych). Jakżeż błogo po wędrowce, ulewie i burzy. Teraz śpi się smacznie i czuje, jak wspaniały był huragan i jaka cudowna przygoda w drodze!

Klementynówka, szary blok domu — budowany z kamienia. Nie ma tego stylu, co schronisko na »Kamenitzer Platte«, lecz wygoda wnętrza wynagradza te braki zewnętrznego wyglądu. Niestety, po szalonej burzy następny dzień leje bez przerwy, leje i leje, mgła i woda — nie ma mowy o dalszym marszu. Ruch w schronisku mały — tym lepiej. Dwie starsze panie — Niemki na pensji całodziennej — drzemią i czytają w pokoju swoim. W głównej sali jadalnej jakaś grubiutka semitka z córeczką, która gra

na fortepianie Beethovena, jakiś pan, którego też »złalo«, cały dzień grający to w szachy, to w karty z gospodarzami schroniska, dwie ferytyczne panienki (zaraz uciekły po wysuszeniu się), ot i komplet. Po prostu kościelna, świąteczna cisza. »W taki czas to po rosyjsku nastawia się czaj i pije filiżankę za filiżanką« — mówi pan, grający w karty. Otwieram drzwi do biblioteczki schroniskowej (gazet nie mają). Literatura w języku niemieckim, przeważnie turystyczna i beletrystyczna. Sprawozdania z działalności »Karpathenverein'u«, »Beskidenverein'u«, różne przewodniki górskie — niemieckie, obce i polskie (są i nasze »Wierchy«, numery poświęcone Beskidom Śląskim). Poza tym beletrystyka tylko po niemiecku. Wgłębiam się w dzieje śląskich Beskidów (sprawozdania »Beskidenverein'u« i »Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego«). W zacisznej czytelnicy rozkosznie tak czytać, gdy na dworze piętrzą się góry wody i mgły. Obiad podają dobry i kolację. Radio nieczynne — zepsuty akumulator — więc chyba tylko wieczorna pogawędka i spać. Nastraja dość osobliwie do snu jeden z uczestników kolacji, wielbiciel Maeterlincka. Wyciąga małą książeczkę i czyta: »Nadejdzie dzień, w którym... wiedza zawróci z błędnej drogi i nie zawaha się

Ryc. 89.



Fot. H. Poddebski.

DOLINA CZARNEJ WISŁKI.

zdjąć brzemienia niełaski z ramion śmierci. Najedzie dzień, w którym pozbędzie się niepewności i przestanie działać na oślep; kiedy życie cicho odchodzić będzie, w poczuciu, że doszło do kresu, jak odchodzi każdego wieczora w poczuciu, że swe zadanie spełniło. A gdy lekarz i chory poznają to, co poznać powinni, wówczas zniknie wszelka fizyczna, czy metafizyczna przyczyna, dla której śmierć nie miałaby się stać takim samym dobrodziejstwem, jak sen. I wówczas może, nie oglądając się już na nic, będziemy mogli otoczyć jej postać aureolą głębokich ukojeń i opasać snów precudnych tęczą. Z tą chwilą łatwiej będzie spoglądać w jej lica, jej pozbawionej grozy tego, co ją poprzedza i rozświetlić to, co po niej następuje¹.

»To »Śmierć« Maeterlincka, najcenniejsza rzecz jego« — mówi proroczko. Inny »turysta« (?) przygodny wyjmując ze swej teczki wydawnictwa Trzaski i Everta w Warszawie: »Polska, jej dzieje i kultura«, »Dzieje obyczajów« Bystrońnia itp., zachwala walory wydawnictw (komiwojażer!). Po co się tu do licha dostał? — szuka klientów. Uciekłam od książek, a one nawet w górach mnie prześladowują. W nocy szalony sen. Wysokogórskie powietrze działa cuda. Zupenie dusza wzlata ku wyżynom. Jakiś cudowny, egzaltowany nastrój. Myśli się pysznie, układa nowe dzieło i zasypia po królewsku. Nareszcie słońce — pogoda. Magóra (gdzie stoi Klementynówka) rozjaśniła się, jak panna w słońcu. Widać Babią i Baranią. Nareszcie słońce! Idziemy na dół do Szczyrku wśród wesołego hopkania (hop! hop!). Piękne dziewięciosiły zbieram do plecaka. Hop, hop! Z góry pędzi się, nie idzie, na leb, na szyję. W dolinie Szczyrk przepięknie rozłożył swoje wille i hotele, a nad nim rozpięły łagodne ramiona dwa wzgórzka szerokie (wyższe od Klimczoka i Magóry) — Skrzyczne i Skaliste. Szczyrk ma wielkie powodzenie, większe, niż stara Bystra. Szczyrk, jako lotnisko, jest młody. Zwycięsko rywalizuje z sąsiadką. Przepelnienie. Hotele — Bristol, Beskid, Maria — nowoczesne, urządzone komfortowo. Liczne pensjonaty (drożej niż w Bystrej). Malutki potok górski sączy się przez całą kotlinę. Zrobiono tu wcale przyzwoitą pływalnię (większa, niż w Bystrej). »Nasi« i nie-nasi (bardzo tu ich dużo, poza tym śląscy Niemcy, Bielsko — Katowice) w kąpielowych kostiumach pływają się w słońcu na le-

żakach. Autobusy co godzina pędzą z Bielska i z powrotem. Mały bałagan i nieporządeczek niearyjski, ale góry śliczne — powietrze, słońce cudowne. Pod lasem samotny namiot harcerzywłóczęgów. Pali się ognisko — gotują obiad. Przykry dysonans z urodą dnia. Z gór pędzą za nami zielono-blade dziewczynki, półnagie, w łachmanach. »Panicko! Panicku! chleba dajcie, chleba, głodnam jest — nie mamy co jeść«... Za chwilę chłopiec, pasący krowy, blade-szarej twarzy, nędzna kruszyna, podchodzi i żebrzącym głosem szepce: »Parę groszy... parę groszy...« A już w dolinie mała kobiecina w niebieskim kabotku, ochędoźnie zresztą odziana, kłania się, nawiązuje rozmowę i kończy ją słowami: »Choć parę groszy — idę po prośbie uezierać coś dla dzieci. Bida w górach, fabrykę zamknęli w Buczkowicach (»Mundus« — Thoneta fabryka giętych mebli). Nie ma z czego żyć. Sami komornicy bez gruntu. Bida w górach«.

Tak, bieda w górach — przednówek — nie ma co jeść! A tam w pensjonatach rozpierają się bogaci fabrykanci z Bielska!. Mówią po niemiecku — Niemcy i semici — a polski chłop i góral głodny na swej ziemi. Niemiecką mowę wszędzie słyhać (w schroniskach Beskidenvereinu na Szędzielnej i Magórze wszystko Niemcy — po niemiecku). W Szczyrku Niemców pełno.

Opuszczamy Szczyrk (powietrze cudowne, górskie, ponad 500 m n. p. m., a łagodne, słodkie po prostu; wiaterek cichutki, ciepły, słońce). Góralskich strojów, niestety, nie widać w tych górach, tylko kobiety po śląsku chodzą w kabotkach i chustkach — długie warkocze. Mężczyźni po miejsku wszystko. Lud dwujęzyczny. W sklepach mówią wszędzie po niemiecku i po polsku. Lud mizerny, drobnej budowy, bladych twarzy, dzieci marne. — Tablice orientacyjne (panuje na Śląsku Beskidenverein) są wszędzie bardzo dokładne, że dziecko trafiłoby wedle ich wskazówek i znaków. Idziemy na Baranią i do źródeł Wisły.

V. W kolebce Wisły. Najulubiejsza wycieczka! Na Baranią i do źródeł Wisły. Pogoda względna; to się słońce uśmiecha, to posiąpuje cokolwiek. W drodze spotyka-

¹ Maeterlinck. »Śmierć«. Przeł. dr W. R. Warszawa 1921, str. 13.

my niemieckich turystów, uczniów gimnazjalnych z niemieckiego Śląska. W pelerynkach ceratowych z kapiszonami. Tym deszcz — to śmiech! Idą zwartą gromadą, śpiewają niemieckie pieśni. Idziemy zboczami gór przez Małe i Wielkie Skrzyczne (1200—1250 m). Dzikie skały, strome drożyny potęgują czar pierwotności. Tutaj dobrze — daleko od »święta gór«. W lesie na Skrzycznym, zdala od schroniska, cudowny postój. Rozpalony ogień rozprasza wieczorne mgły; kolacja smakuje wyśmienicie. Stajemy w schronisku P. T. T. dopiero na Baraniej, późno w nocy (wygoda, swoboda, miły nastrój, trochę gości). Dzień następny jest cudowny. Można się rozkoszować wspaniałą panoramą z Baraniej. Cały Beskid, jak na dłoni — Łysa Góra, Czantoria, Stożek, Babia i Piłsko. Teraz dopiero, po dniach niewyraźnej pogody, na słonecznej polanie, w kostiumach kąpielowych można się wygrzać do syta i odpoczywać w słoneczno-złotej ciszy, górskiej ciszy dnia, z dala od krzykliwych wycieczkowiczów (minęliśmy ogromnie rozgadane towarzystwo niemieckie, nocujące w schronisku na Baraniej, tj. dwie pary spodni niebiesko-aksamitnych, dwóch pań w różowo-białych płóciennych kapeluszach (sic!) i trzech panów w tyrolskich kapeluszach). Po rozkosznym dolce far niente schodzimy w dół, w dolinę Wisły, dolinę Czarnej i Białej Wiselki. Tutaj w chłodzie, wśród rozkosznych wodospadów Wiselki: »Ileż upolowałam dumań...« Pyszna kąpiel z natryskiem i obiad nad brzegiem strumienia. Stąd po długich wędrówkach docieramy do zameczku myśliwskiego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. W wymarzonej miejscy. Z okien jego widok pyszny. Komfort wewnętrzny i prostota — nowoczesne urządzenie. Kłopot tylko z tymi papuciami, które trzeba wdziać na nogi, by nie zbrukać chodników w pokojach przy zwiedzaniu. Tylko, czy te wstępy 50-groszowe potrzebne? Ogonki formalne przed zameczkiem, ochotników do zwiedzania nie brak. Co jedna partia wyjdzie, już druga napływa.

Ze źródeł Wisły wkraczamy do doliny Wisły i docieramy do samej wsi-leśniczki Wisły. Prześliczne ma położenie. Powietrze znakomite. Wiele dobrych pensjonatów, will — niedrogo. Lud wszędzie uprzejmy, dobrotliwy, tylko folkloru trzeba by szukać chyba w Istebnej, do której już nie idziemy. Piękne szosy autobusowe —

asfalt — pełne pojazdów samochodowych i motocyklowych. Sklepy wszędzie; można kupić, czego tylko potrzeba w drodze. Górską, piękną przyrodą łączy się z nowoczesną wygodą i kulturą. Odpoczynek w Wiśle w kolibie, opuszczonej pod lasem, potem noc w pensjonacie. Przy kościele wiślańskim jakiś odpust. Sprzedają różne zabaweczki drewniane, zapuszczane farbami (np. czerwoną), wytwory sztuki ludowej: gliniane garnuszki z osobliwym ornamentem. Ruch niewielki, stroje śląsko-górskie, kobiece kabotki, trochę guń góralskich górali od Istebnej i Jabłonki. Piękny, okazały gmach szkoły powszechnej. Komfort wewnętrzny. Basen doskonały do kąpieli w parku sportowym, leżaki, dużo gości.

Z Wisły do Ustronia (7 km) powolnym spacerkiem zająć można. Ustroń, pięknie położone miasteczko-uzdrowisko. Wielka pływalnia, piękny duży staw (z łódkami!) u stóp niemal tajemniczo oświetlonej reflektorami słońca Czantorii. Opodal zakład kąpielowy, z zadrzewionym, ciemnym parkiem. Dobre restauracje i obfite menu na obiad za 1.20—1.50 zł, dużo mięsa, jak wszędzie na Śląsku. Patefony wrzeszczą z otwartych okien; wśród letników moc semitów.

Na Czantorię! (995 m). Wypoczynek na Czantorii cudowny. Noc chłodna, lecz prawie jasna, pięknie mrugają światła miast Ustronia, Cieszyńska, Skoczowa.

VI. Nad Olzą. Dziwnie po tygodniowej włóczędce w górach i dolinach, na szczytach i u ich stóp, znaleźć się nagle w mieście, z brukami i kamienicami, widzieć rynek ciasno zabudowany, autobusy, dorożki i kino!!! To ostatnie największa sensacja. Jakiś banalny, erotyczny film w ciemnej niewielkiej sali wytrysnął słabym światłem na mały ekran kina w Cieszynie. Ale wcale to zajmujące — kultura po przyrodzie. Albo usłyszeć radio, np. »wesolą lwowską fałę«, i kapitalne kawały z życia pensjonatowego na letniskach — w restauracji wieczorem.

Lecz właściwie nie to podziwiamy w Cieszynie (wyjazd po południu z Ustronia koleją — też radość wyprostować zmęczone wędrówką nogi), lecz jego cudowne położenie i starożytny zamek piastowski. Z jego wieży prześliczny widok na okoliczne wzgórza beskidzkie, wsie i miasteczka. W ciemnym parku zakochane parki. Trochę wycieczkowiczów — drapią się na wieżę.



Fot. H. Poddębski.

WISŁA. ZAMECZEK PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ.

Ulice miasta mało ruchliwe, leniwie wloką się pojazdy i ludzie. Nie ma życia w Cieszynie, zamiera. Ładny Cieszyn — jako muzeum starożytności — piękne ma położenie. Ulica Głęboka spada stromo ku mostowi na Olzie do Cieszyna czeskiego. Tam za kordonem słychać dźwięki barowej muzyki (zaraz za mostem, po stronie czeskiej). Tam wesoło, ruch, żywsze tempo życia, handel, przemysł. Polski Cieszyn cichutki, upośledzony — starożytne muzeum. Z nad brzegów Olzy widok na miasto całe, jak na dłoni. Wznosi się ono amfiteatralnie, niczym starożytne zamczysko na skale. Prześliczne to położenie wynagradza przykre opuszczenie się Cieszyna. A już Olza — to śliczny, oliwkowo-srebrny wężyk, wijący się wśród bujno-zielonych traw wybrzeża i skaczący po kamieniach białą pianą strumieni, to znów cichutko, leniwie sączący się po równinie. Olza, smętna, graniczna rzeka, w Karpatach się rodzi, do Wisły ucieka. Cieszyn jest polski, nawet »naszych« tu niewiele, ale ten spokój, bezruch. O dziewiętej ciemno w mieście, cisza, śpią już wszyscy. Z Cieszyna ładna wycieczka łączy się na Stożek, rozpinający się w dali nad miastem. Niestety, kończy się urlop kradziony, książki czekają, trzeba wracać.

VII. N a d S o ł ą. Pociąg wcale ładnie tańczy po stopniach staccato i wydzwania jedno słowo: powrót. Nogi zadowolone są z tej muzyki, bo trochę ciężkie i zmordowane. Oczy się śmieją, a myśl tańczy radosne, optymistyczne tanga przyszłości pomyślnej, milej. Wyzwolili się z pęt, pohulała po górach, a teraz niespokojna opracowuje już nowe plany jutra! Ogromne przepełnienie w wagonach. A te przekłete przesiadki powodują zamęt wśród pasażerów i pomyłki, kłótnie z konduktorami. Oto jakaś wiejska kobiecina po rękach całuje konduktora, aby jej darował, że źle jedzie i nie dokłada za bilet. »Panocku, darujcie! Co ja winna, ja nie mam nic przy sobie. Tak mi tamten źle powiedział«. Przesiadka w Bielsku, w Dziedzicach, wśród nieprzyjemnego uganiania się za odjeżdżającym pociągiem, spóźnionym. No, nareszcie już Kraków, niedługo. »Ileż to burzy wśród mej podróży, a jak rozkoszny powrotu dzień...« wybijają walca koła wagonów. Konduktor przecina bilet. — »To państwo jadą do Zakopanego?« — »Cóż znowu, do Krakowa!« — »Ten pociąg jedzie do Zakopanego (Katowice — Bielsko — Zakopane), najbliższa stacja Żywiec, proszę wysiadać!« Mój towarzysz podróży wcale się nie zgniewał, ale

z tryumfem podniósł palec do góry. — »Jest, nareszcie jest! A tak myślałem sobie, dlaczego jeszcze nie ma?«

— Czego nie ma, co jest?

— Przygoda w drodze.

— To pan nazywa przygodą?

— Tak. To dobrze, że jeszcze nienajgorzej się kończy. Ostatecznie wysiadziemy w Żywcu, czekamy na pociąg następny do Krakowa i spokój. Dobrze, że się tylko tak kończy. A może nie koniec »przygody«? Bo, widzi pani, urodziłem się »pod rybami«.

— No, to cóż z tego? Co to ma do rzeczy?

— To znaczy, że całe życie ściga mnie nie-
szczęsne fatum, prześladowuje los. Zawsze i wszę-
dzie. Coś się zawsze źle całkiem, albo trochę
przynajmniej źle kończy. Pech po prostu.

Tu mój rozmówca wyciąga z plecaka jakąś
książkę i czyta głośno:

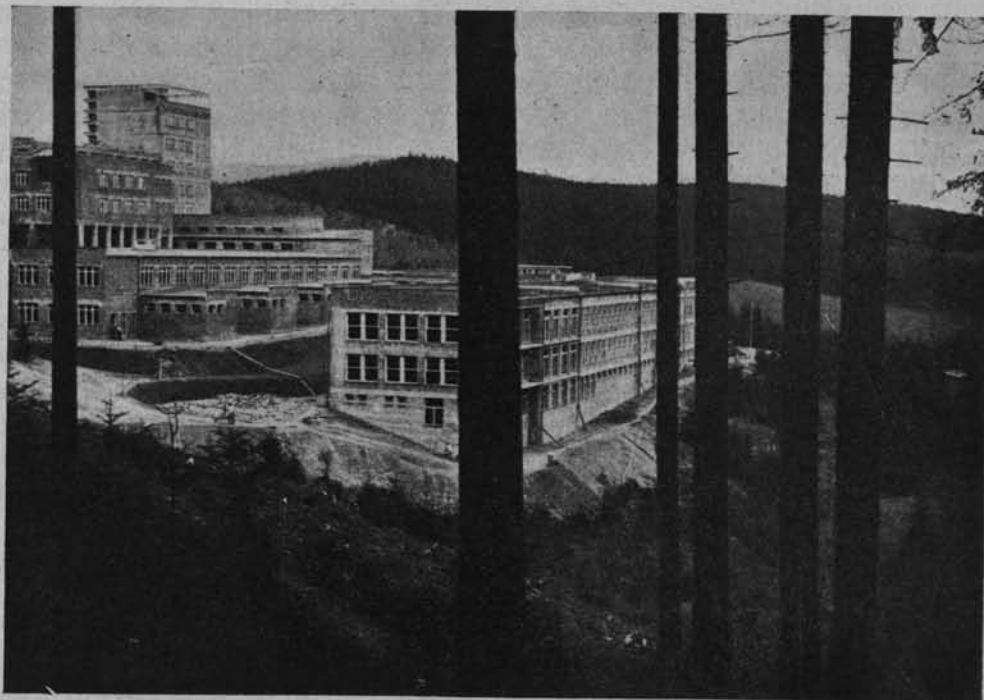
»Pisces. Die Fische gehören nicht zu den glück-
lichen Menschen, sie leben sozusagen unter
einem verhängnisvollen Bann, der sie zwingt,
in allem in Hintergrund zu bleiben. Fortwäh-
rend haben sie zu kämpfen gegen allerlei Miss-
geschick und Enttäuschungen. Es ist wie ein
Kreuzgang, den der vollkommene Mensch zu
bestehen hat, bevor er im Zeichen des Widders
aus Kreuz genagelt wird...«¹.

— Widzi pani, urodziłem się w lutym, pod ry-
bami, a to niedobra konstelacja. Wierzę w astro-
logię, studiuję ją i przychodzę do przekonania,
że jestem człowiekiem pechowym. Zawsze coś!
Zawsze coś. Jakaś przygoda, jakiś kłopot, po
najprzyjemniejszych chwilach życia — tu kiwa
głową. — »Przygoda w drodze«.

Zajeżdżamy do Żywca o 6-tej wieczór. O 8.30 od-
jazd pociągu do Bielska-Dziedzic. A zatem dwie
godziny przymusowego pobytu w Żywcu. Trze-
ba się przejść po mieście i »zwiedzić« je. Pod
wieczór robi się szarawo. Zamek żywiecki do-
stojnie drzemie wśród parku. Stara dzwonnica
zatrzymuje nas chwilę. Rynek starożytny, tro-
chę starych domów, kościół. Jest święto. Dużo
panienek żywieckich z kawalerami defiluje uli-
cami. Browar żywiecki — dobre piwo. Dużo
»naszych« poza rynkiem. Dużo błota po deszczu.
Ale Soła jest śliczna. Przypomina Olzę. Lecz
jest bardziej spokojna, jak żywiecka mieszcza-
ka. Płynie, a raczej stoi sobie cichutko wśród
moczarów przybrzeżnych i lśni taflą grynspanu
zielonego, pokropionego oliwą. Przeglądają
się w jej wodzie śliczne ciemno-zielone, nadbrzeż-
ne olchy i olbrzymie, kędzierzaste wierzby, bu-
ki i lipy. Piękny widok z mostu Soły na wzgó-

¹ C. Aq. Libra: Astrologie, ihre Technik und Ethik —
Ammersfort 1922. S. 57.

Ryc. 91.



Fot. H. Poddębski.

WISŁA. SANATORIUM NA KUBALONCE.

rza nad Żywcem. W wodzie się plawią ciemne głowy wzgórz. W dali gdzieś (domyślać się trzeba) piętrzą się Babia i Pilsko. Tak, tak, zapraszają nas na przyszłe wakacje Babia i Pilsko. Owszem, na drugi rok ruszymy w Beskid żywiecki! A teraz na stację, bo pociąg ucieknie. Po drodze jeszcze jedna atrakcja. Ogromny afisz z kobietą brodatą i z wąsami, z napisem: »Po raz pierwszy w Polsce! Kobieta z brodą męzczyzny. Wstęp tylko 20 groszy, dzieci 15!« Przed drzwiami jakiś jegomość rozgląda się, czy nie ma naiwnych gości. Otóż i my wchodzimy do wnętrza. Pokój pusty, przedzielony zasłoną z prześcieradła, za nim przy stoliku siedzi jakaś pani koło 40-ki, dosyć tęga i dobrze zbu-

dowana kobieta, o pełnej twarzy, z brodą kasztanową, rudawą dokoła podbródka i wąsami, niezbyt długimi, jak przesadnie wymalowano na afiszu. Zdaje się semitka, jak i jej impresario. Trochę zażenowana wydaje się wizytą, pyta się, czy deszcz nie pada na polu. Cóż za pomysły ma ten żydowin, pocóż dręczyć kobietę z lekkim zarostem na twarzy. Czy to największa sensacja Żywca?

Nareszcie (mój towarzysz podróży wahał w powietrzu przygodę, lecz nic się nie stało) nadszedł pociąg do Dziedzic. A tam już szczęśliwa przesiadka do Krakowa, bez spodziewanej nowej przygody.

WANDA DOBROWOLSKA

WŁADYSŁAW HR. ZAMOYSKI I SPÓR O MORSKIE OKO

»Dla siebie samego był »skąpcem«. Nie pozwolił na to, żeby jedna skaza znalazła się na czystości jego szaty duchowej, żeby jedna grudka błota ziemi przylgnęła do jego sandału. Zstąpił ze swych wyniosłych gór, od przezczystych jezior, które wydarł uzurpatorom, z pomiędzy wirchów, z lasów umiłowanych, jako ów święty Jan w zakopiańskim kościele, półnagi zwiastun Polski nowej, Polski istotnej, Polski z ducha«.

ST. ŻEROMSKI: »Drożynna i Zamoyszczyzna«.

I. Dawne Kuźnice. Licytacja dóbr zakopiańskich. Podczas mej pierwszej bytności w Zakopanem w roku 1877, właścicielem dóbr tutejszych, nabytych od Klementyny Homolaczowej w r. 1870, był prusak Ludwik Eichborn i jego zięć Magnus Pelz. Widziałem ich wtedy wracających z gór w białych pruskich czapkach, z długimi »alpenstokami« w rękach.

Wówczas Kuźnice inaczej wyglądały niż dzisiaj. Po lewej stronie drogi, idąc w górę, stał szereg białych domków hamerników, po prawej zaś kuźnie i walcownie. Był tam niemały ruch i hałas. Dudniały młoty, kując kosy, rozlegał się warkot transmisji walcowni, gdzie walcowano sztaby żelaza i ciągniono drut. Zajeżdżały furki, przywożące surowy materiał i zabierające gotowy, już wyrobiony.

Wysokie piece były już nieczynne, surowiec sprowadzano z Węgier drogą pod Reglami, którą zwano z tego powodu drogą żelazną.

Droga z Kuźnic, prowadząca przez dzisiejszą ulicą Jagiellońską i Chramcówki, wysypana szklistym żużlem z wysokich pieców była czarna,

twarda jak beton, równa i nie miała zupełnie błota.

Gotowy materiał żelazny wysyłano furkami do Krakowa. Odbiorcą był Freilich, właściciel składu żelaza na Kaźmierzu w domu narożnym przy ulicy Krakowskiej i św. Józefa.

Góral otrzymywał za dowóz do Krakowa jeden złr., a stracił na to i na powrót trzy dni. Takie wtedy były zarobki. A jednak żył z tego i był zadowolony.

Oprócz fabryk żelaza były także papiernie, które dzierżawił Jakub Goldfinger, kupiec z Nowego Targu.

Wskutek złej gospodarki Magnusa Pelca, majątek ten został obdłużony i wystawiony na licytację.

Goldfinger, który znał wartość tych lasów, postanowił je kupić. Zebrał pomiędzy swoimi współwyznawcami odpowiedni kapitał, i stanął do licytacji, będąc pewny, że łatwą będzie miał sprawę, gdyż według jego mniemania nikt z bogatszych ludzi w kraju nie pokusi się o kupno majątku, położonego w wysokich górach zdala od kolei.

I rzeczywiście kupił go na licytacji 9 lutego 1888 r. Nie przewidział jednak tego, że komuś będzie zależało, aby majątek kresowy nie dostał się w niepowołane niepolskie ręce, które go wy-cisną jak cytrynę i zniszczą na długie lata.

Tym człowiekiem był Władysław hr. Zamoyski. Nieznany zupełnie u nas, gdyż urodził się i wychował we Francji, z matki Działyńskiej a ojca generała wojsk polskich z r. 1831, znanych szczerych patriotów.

Odziedziczył on po swym wuju Działyńskim majątek Kórnik w Poznańskim, skąd go prusacy i jego matkę, generałową Zamoyską, wydali, jako uciążliwych cudzoziemców. Szukał tedy majątku w Galicji, który byłby do nabycia.

Dowiedziawszy się o sprzedaży dóbr zakopiańskich Goldfingerowi, zwrócił się do adwokata Rettingera w Krakowie, aby zbadał, czy nieda się tej licytacji obalić. Dr Rettinger, przejrzawszy akta, dotyczące licytacji, w sądzie w Nowym Sączu, znalazł jakąś nieformalność i przedłożył prezesowi sądu projekt obalenia tej licytacji. Tak się też stało, unieważniono tę licytację i wyznaczono nową na 9 maja 1889 roku.

Zamoyski wysłał dra Rettingera na ten termin z poleceniem, aby nie dopuścił do ponownego kupna przez Goldfingera, jednak by zbytnio nie szafował wręczonymi na to pieniędzmi, zobowiązał go do milczenia, dla kogo te dobra kupuje. Cena wywołania wynosiła około 200.000 złr.

Oprócz Goldfingera byli także inni licytanci, którzy jednak, gdy cena zaczęła się podnosić, odpadli. Wtedy wystąpił dr Rettinger i zaczęła się oryginalna licytacja.

Gdy Goldfinger podwyższył cenę o pięć tysięcy złr., wtedy dr Rettinger wołał: — »Daję pięć tysięcy złr. i jeden cent więcej«.

Goldfinger się śmieje — »Czy to kpiny?«.

— »Nie, tylko daję więcej od pana«.

Goldfinger się złościł i zaczął grubo podwyższać stawki, które były natychmiast o jeden cent prze-licytowywane. Gdy suma oferowana doszła do 360.000 złr. i jeden cent, przewyższyła tę, którą Goldfinger posiadał, wściekły odstąpił od licytacji.

Dopiero teraz dowiedziano się, w czym imieniu dobra zakopiańskie zostały zakupione.

II. Sporne granice. Granica między do-brami zakopiańskimi a jaworzyńskimi, których właścicielem był prusak ks. Hohenlohe, nie była

uregulowana. Po nabyciu dóbr zakopiańskich przez hr. Zamoyskiego, zgłosił się do niego były nadleśniczy Eichborna, Gustaw Finger, ofiarując się objąć posadę zarządcy, twierdząc że zna do-brze sprawę spornej granicy i potrafi ją ure-gulować.

Ponieważ był to Niemiec, Zamoyski odmówił. Wobec tego zwrócił się on do Hohenlohego i umieścił tam syna swego jako leśniczego. Odtąd zaczął się spór między Zamoyskim a Hohenlohem, który właściwie był dawnym sporem między Polską a Węgrami o granice kraju.

Spółeczeństwo węgierskie nie bardzo się tym spo-rem interesowało, nie zależało mu na tej drobnej różnicy granic, władze węgierskie natomiast szły na rękę Hohenlohemu, który chciał koniecz-nie mieć dostęp do Morskiego Oka, aby tam zbudować schronisko myśliwskie i rozszerzyć swój rewir na Żabiem. Polskie zaś społeczeństwo było oburzone, że Morskim Okiem, tą perłą naszych Tatr, ma się dzielić z wrogim Pru-sakiem.

Hohenlohe rozpoczął budowę schroniska nad Morskim Okiem, pomimo sprzeciwu władz pol-skich a właściwie galicyjskich, że sporne tery-torium jest nienaruszalne aż do ostatecznego uregulowania sprawy.

Nasi, tj. Zamoyski i górale białczyńscy, którzy mieli tam pastwiska, przeszkadzali budowie, Hohenlohe zaś posłał swych jęgrów, aby pilno-wali budowy schroniska i nie pozwalali Pola-kom wkraczać na to rzekomo węgierskie tery-torium.

Z tego powstały różne zajścia, które o mało nie zamieniły się w krwawe, górale bowiem byli roz-sierdzeni i nie na żarty odgrządzali się, że zarąbia ciupagami służbę Hohenlohego, jęgrów i żandar-mów węgierskich.

Mitygował ich naczelnik sądu z Nowego Targu, aby niepotrzebnie krwi nie przelewali i czekali na wyrok sądu rozjemczego, który musi na na-szą korzyść wypaść.

Dziwne stanowisko zajęły w tej sprawie galicyj-skie władze polityczne. Namiestnictwo lwow-skie dawało do poznania, że się tym sporem nie interesuje. Starostwo nowotarskie wezwało tele-graficznie węgierskich żandarmów do pilnowa-nia, aby nikt na sporne terytorium nie wchodził, a żandarmom austriackim zabroniło tam wstępu i przeszkadzania budowie schroniska.

Sądowi powiatowemu w Nowym Targu należy



Fot.
T. S. Zwo-
liński.

WIDOK NA MORSKIE OKO, MIĘGUSZOWIECKIE, RYSY I ZBOCZA ŻABIEGO.

się pełne uznanie, gdyż był zupełnie poprawny i bronił naszego stanu posiadania.

Pod naciskiem Hohenlohego Węgrzy stali się agresywni. Ciągłe były gwałty z ich strony na spornym terytorium, z powodu których wnoszone były interpelacje w sejmie i parlamencie, żądające ukrócenia samowoli władz węgierskich.

Trwały te szyskany i niepokoje do roku 1902, tj. do czasu, gdy sąd rozjemczy w Grazu rozstrzygnął ostatecznie sprawę na naszą korzyść.

W dniu 13 września 1902 roku ogłoszono wyrok, opierając się nie tyle na dowodach prawnych, ile na naturalnych granicach w terenie.

A więc granica wytknięta została wzdłuż rzeki Białki aż do ujścia do niej potoku Rybiego, stąd w górę grzbietem Żabiego aż do szczytu Rysów. Morskie Oko i Czarny Staw utrzymały się całkowicie po polskiej stronie.

I tak spór, trwający przeszło sto lat, został ostatecznie zakończony dzięki niepożytej energii Władysława hr. Zamoyskiego, zapobiegliwości Towarzystwa Tatrzańskiego, delegata Wydziału Krajowego Edwarda Mochnackiego, dra Aleksandra Czołowskiego, prof. Oswalda Balcera i bezstronnej ocenie Szwajcara, pułkownika Beckera.

*

Gdy członkowie międzynarodowej komisji rozjemczej przyjechali do Morskiego Oka aby sprawę na miejscu zbadać, dziwili się, widząc tak wielki zjazd polskiej publiczności, która tłumnie zjechała, manifestując swoje zainteresowanie sprawą granicy.

Prezes sądu najwyższego we Lwowie, arbiter ze strony Galicji, nie orientując się należycie w sytuacji, odrzekł niezręcznie:

— »O, tu zawsze taki zjazd bywa przy Morskim Oku«.

Na to ktoś mu szepnął z boku:

— »Ekscelencjo, nie gadaj głupstw, nigdy tu nie byłeś, a powinienes wiedzieć dlaczego dzisiaj taki zjazd«.

Ekscelencja dostał order za udział w komisji rozjemczej.

*

Po rozstrzygnięciu sporu granicznego, zjechały się władze obu krajów, tj. Galicji i Węgier, aby wyznaczyć granicę i oddać sporne terytorium. Przybyło wtedy także mnóstwo publiczności do Morskiego Oka. Wszystkie izby w schronisku, nawet strychy były zajęte, że nie było gdzie spać.

Hr. Zamoyski, znany ze swej spartańskiej prostości, przyzwyczajony do niewygód, położył się

na stole. Będący z nim poeta Kasprówic zbierał się także do spoczynku.

— »A gdzie pan będzie spał?« — pyta Zamoyski.

— »Może polski hrabia spać na stole, to może polski chłop spać na podłodze« — odparł Kasprówic i ułożył się do spania.

*

Komisje polsko-węgierskie w sprawie spornej granicy odbyły się w latach 1837 i 1858, a ostatnia za mojej pamięci w dniu 16 Sierpnia 1883 roku, jeszcze przed kupnem dóbr zakopiańskich przez hr. Zamoyskiego.

Pamiętam ten dzień dokładnie, bo właśnie wtedy wracaliśmy z wycieczki na Krywań z Walerym Eliaszem, który z ramienia Towarzystwa Tatrzańskiego miał brać udział w tej komisji.

Na przełęczy Mięguszwieckiej pod Chłopciami ogarnęła nas gęsta mgła tak, że całą drogę do Czarnego Stawu odbywaliśmy po omacku, nic nie widząc. Eliasz zniecierpliwiony woła wreszcie do przewodnika Wali:

— »Pewnie zmyliliście drogę, Jędrzeju, powinniśmy już być przy Czarnym Stawie!«.

— »Hej! Ka ten Corny Staw, panie!«.

Schylił się po skałkę i rzucił ją we mgłę. Usły-

szeliśmy plusk. Stojąc nad stawem nie widzieliśmy go, a znaków malowanych po skałach wtedy jeszcze nie było.

Doszedłszy do Morskiego Oka już w rześmistym deszczu, wsiedliśmy na prymitywną tratwę, aby prędzej być w schronisku. Aleśmy to źle obliczyli. Deszcz zamienił się w ulewę i burzę z piorunami. Nic na okół nie było widać tylko bańki i świece na wodzie. Wiosła skrzypiały monotonnie, deszcz szumiał, pioruny biły, aż w górach grzmiało echem, Wala przysiadł worki z prowiantem, a my staliśmy bez ruchu jak słupy, przemoczeni czekaliśmy końca tej żeglugi. Trwała ona pełne trzy kwadransy.

W schronisku goście zgromadzeni radowali się, że Węgrzy mokną na tratwie. Nie domyślali się, że tam są i Polacy. Dr Holewicz, towarzysz naszej wycieczki, odzywa się, że jeszcze jak żyje, tak nie zmókł, czuje jak mu woda po gołej skórze ciecze.

— »Nic dziwnego« — powiadam — »bo koniec parasola stojącego obok Węgra sięga za pański kołnierze«.

Doktor skoczył jak wściekły i o mało Węgra z tratwy do wody nie wrzucił. W schronisku rozebraliśmy się prawie do naga, oddając góralom

Ryc. 93.



Fot. Schabenbeck.

WŁADYSŁAW HR. ZAMOYSKI
(z prawej strony).

mokre odzienie do wysuszenia przy ognisku kuchennym.

III. Niepokoje graniczne. Pomimo, że sporne terytorium miało być nienaruszalne dla obu stron roszczących sobie do niego prawo, jednak leśni Hohenlohego zaczęli je grodzić płotem, a Zamoyskiego leśni płot ten w nocy niszczyli. Ciągły był tam ruch i niepokój.

Gdy Węgrzy zaczęli budować domek myśliwski na wzgórzu nad Rybim Potokiem w roku 1890, pilnowali tej budowy jeździ Hohenlohego i żandarmi węgierscy, którzy dochodzili z Jaworzyny. Cieśłom tam pracującym ktoś przedziurawił blaszanki na mleko i wodę. Pewnego dnia zaczęły kule świstać koło budynku, wysyłane gdzieś z Miedzianego. Strzelającego nie można było wypatrzyć, był dobrze schowany za skałą, a strzał nie dawał dymu. Mimo tego budowa rosła w szybkim tempie i trzeba było temu koniec położyć.

Gdy budynek był już bliski ukończenia, pewnego ranka o świtaniu podeszli tam nasi leśni z góralami, a Dziadoń z Wojtkiem Nędzą wpadli do środka wołając: — »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«.

Porwali stojące w kącie strzelby i wypadli na pole, a jeździ zaspani za nimi. Górale obstarpi ich, pobili należycie i zmusili do ucieczki.

— »Teroz chłopcy bierme się do roboty, dokończmy ty budowy!«.

Poszły w ruch siekiery, w mig porąbali ściany, a kawałki wrzucili do potoku. Wyporządzili »sitko cisto, pięknie« tak, że na miejscu z budynku nic nie pozostało.

Zarządca dóbr Jaworzyńskich nie dał jednak za wygraną. Zrobiono drogę przez Żabie, zbudowano kompletne schronisko na węgierskiej stronie, rozebrano na części i przewieziono nad Morskie Oko, gdzie je szybko złożono pod dozorem żandarmów. Węgrzy postawili na swoim i nie można było temu przeszkodzić. Żandarmi mieli polecenie strzelania do każdego przeszkadzającego budowie.

Stosunki zaostrzyły się. Naszym turystom nie pozwolono przechodzić przez Żabie. Józka Pekę, idącego z turystami, aresztowano i przetrzymano w Jaworzynie przez dwa dni w piwnicy, a turystów internowano w pokoju.

Nasi odpłacali wzajemnością. Gdy turyści węgierscy ze śpiskim przewodnikiem chcieli przejść

na Łysą Polanę, leśny Dziadoń stanął na moście, wymierzył strzelbę ku nim i zaklął się »na mój dusiu«, że będzie strzelał, jeżeli pójda dalej. Musieli się wrócić.

Gdy komisja sądowa z Nowego Targu pod przewodnictwem sędziego Lawińskiego chciała wejść na sporny obszar, została przez żandarmów węgierskich brutalnie cofnięta pod groźbą strzelania. Opierali się oni na rozkazie telegraficznym, wydanym rzekomo przez żupana, nb. sfalszowanym. Nikogo za to do odpowiedzialności nie pociągnięto.

Sąd w Nowym Targu skazał Hohenlohego na 1000 złr. kary za naruszenie spornego terytorium i ścinanie drzew na budowę schroniska, sąd zaś węgierski zarządcę Manieckiego na 350 złr. za takie samo przekroczenie i zafantował w jego mieszkaniu w Zakopanem meble w obecności komisarza starostwa z Nowego Targu!

Górale z Białki rozgoryczeni, że im pastwiska zabierają, chcieli je siłą odebrać i wołali, że nie ustąpią, dopóki Niemców i Węgrów nie przepędzą i swego nie odzyskają. Zebrało się ich około stu ze strzelbami i ciupagami. Jasiak Nowobolski wołał:

— »Haw moi dziadkowie paśli, jo zginem i nie dom sobie odebrać moi ojcowizny!«

Zamoyski polecił swojej straży leśnej powstrzymać górali od gwałtów, dopóki sam nie przywiezie z Nowego Targu komisarza i żandarmów. Starosta nie chciał się zgodzić, mówiąc, że go to nic nie obchodzi. Dopiero gdy Zamoyski zapytał, czy bierze odpowiedzialność za przelaną krew, bo do tego z pewnością dojdzie, zdecydował się wysłać komisarza i trzech żandarmów, jednakże z poleceniem, by na sporny grunt nie wchodzili, z Węgrami w spory się nie wdawali i w ogóle w niczym im nie przeszkadzali.

Zamoyski zawiózł ich swoim kosztem do Morskiego Oka, starostwo jednak kazało mu zapłacić koszty tej komisji pod groźbą egzekucji.

A schronisko stało z zatkniętą na szczycie chorągwią węgierską ku naszemu utrapieniu. Mieszkal w nim żandarmi węgierscy. Pewnego dnia odbywały się w Białce u zamożnego gazdy chrzciny, na które zaproszono także i żandarmów węgierskich, którzy z tej okazji skwapliwie skorzystali. Oblewanie tej uroczystości przeciągnęło się do późnej nocy. A noc była piękna,

księżyc cudnie świecił nad Mnichem i widocznie zbyt dogrzewał, bo schronisko zapaliło się i zgorzało doszczętnie »z dobrej woli«, bo nikt nie wiedział, jak się to stało. »Różnie mówią o tym, lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem«. Po latach przyznawali się do tego i Bury i Dziadoń.

IV. Prawo własności. Zarząd dóbr zakopiańskich starał się wykonywać prawo własności na Żabim przez trzebież lasu i polowania, które urządzano kilkakrotnie, a w których górale i różni kłusownicy chętnie brali udział.

Leśnym wolno było strzelać sarny i jelenie, górale kłusowali za kozicami, w czym im nie przeszkadzano. Chodziło bowiem o to, aby sąd powiatowy w Nowym Targu ukarał ich za kłusownictwo i przez to wykazał, że sporne terytorium należy do jego jurysdykcji. Podśądni otrzymywali niewielką stosunkowo karę oraz sute wynagrodzenie od zarządu dóbr.

Raz na takiej wyprawie przydybali leśni z Jaworzyny Dziadonia, a że to byli jego znajomi, a przy tym bali się go, »bo strasznie noremny był«, nie próbowali nawet odebrać mu strzelby, tylko prowadzili go do Jaworzyny do dyrektora Kegla.

Dziadoń dał się spokojnie prowadzić. Gdy doszli pod Łysą Polaną, powiedział, że zakurzy sobie fajkę. Leśni byli zajęci wydobywaniem z torbki fajek i »habryki«, Dziadoń wtedy porwał strzelbę, wymierzył ją do nich, krzyknął, że będzie strzelał, gdy się który ruszy i wszedł tyłem do potoku, ciągle mierząc, przeszedł na drugi brzeg i znalazł się na swoim gruncie.

Gdy się o tym Kegel dowiedział przy raporcie, zirytował się.

— »Toście mu nawet fajki nie zabrali? Dziady! i pięciu was było a on tylko jeden? Wolałbym jego jednego za leśnego mieć, jak was wszystkich razem«.

I odbyło się bierzmowanie po wszelkiej formie, jako nagroda za tchórzostwo.

Innym razem wybrali się na Żabie za kozami jako ochotnicy, leśni Budz, Dziadoń i Filek. Ponieważ z naszej strony kóz nie znaleźli, przeszedł Budz na węgierską stronę, aby stamtąd kóz napędzić. I napędził ich cały kierdel »ze trzydzieści sztuk tak noremnie, co sie widziało ze im po gło-

wak bedom hipkały. No i Dziadoń zabiał capu. Spod on z turni nieprec do żlebk«.

No i dobrze nie bardzo, bo żandarmi węgierscy którzy spornego obszaru pilnowali, usłyszeli strzały na Żabim i urządzili na nich oblławę. Mając powrót do Morskiego Oka odcięty, musieli nasi strzelcy obrać daleką drogę przez Rysy, Mięguszwiecki i dopiero wieczorem dostali się do schroniska zgłodniali, gdyż żywności nie mieli z sobą. Pozywiali się tedy pilnie w kuchni przy ogniu.

Budz, zaspokoivszy pierwszy głód, wyszedł przed schronisko na morenę, aby wypatrzyć drogę, którą zamierzał udać się w nocy po zabitego capu, by nie błądzić po kosówkach i żlebach. Skalka, gdzie spadł cap była znaczna, łatwo ją rozpoznał, i gdy tak przepatruje żleb, którym miał się tam dostać, widzi że coś czarnego idzie tym żlebem do góry.

— »Hej! Na mój dusiu, to niedźwiedź! Idzie hań prościutko, kieby o tym capie już wiedziół«.

Skoczył Budz do schroniska.

— »Hej chłopcy! Momy spółnika do capu, hebojcie pozirać«.

Dziadoń nie chciał wierzyć, ale gdy spojrział przez szkła, uwierzył.

— »Cos bees teraz robiel? Iść po capu trza, choćby skrony tyk rogów, bo bars piknie sie widziały« — mówi Budz — »jo idem«.

Dziadoń nie chciał iść, bo jakąś nogę miał kulawą po tej wycieczce, poszli więc Budz z Filkiem o zmroku. Szli tym samym żlebem co i niedźwiedź. Niedaleko miejsca gdzie cap leżał, Budz obszedł bokiem i przyszedł z góry ku niedźwiedziowi raczącemu się koziną. Ten zamruczał, ale od capa nie odstępował.

— »Pockojze, jo cie ztela wystrasem, nie bees go jod, bo cap nie twój, ba mój«.

— »Wzionek świcke z torbki, bo my mieli po nocy wracać« — powiada Budz — »zapolilek i wrzilek w kapelus, obrócićk światłem ku niedźwiedziowi i idem pomaluśku ku niemu. Ten mrucy i cofo sie tyłem. Kiej juz był za graniom, praslek te latarnie ku Filkowi, zarzucilek capa na plecy i hipnąlek dołu jaze skole furcały!

Hej! cudowół się temu hrabia, i doł nom telo dutków, kielo rękóm zagarnon, a on nierod darmo dawół, hej!«.

Sąd powiatowy w Nowym Targu dostarczył potem dowodu, karząc wszystkich trzech za kłu-



Fot. wg zdjęcia dra Stan. Eliasza Radzikowskiego. (»Tygodnik Ilustrowany«, 1902. Nr 32, str. 629).

OBOZ ZANDARMÓW WĘGERSKICH NAD MORSKIM OKIEM.

sownictwo, że obszar na Żabiem należy do Galicji.

V. Obrońcy Morskiego Oka. Dziadoń, Blacha. Udział w obronie Morskiego Oka i spornej granicy brali ze strony hr. Zamoy-skiego: zarządca Maniecki, leśniczy na Zazad-niej Władysław Bieńkowski, praktykant leśnic-twa Blacha, leśni: Jędrzej Dziadoń z Łysej Po-lany, Jasiek Budz, Gronikowski, górale: Jasiek Bury, Jakub Wawrytko, Bartek Obrochta muzy-kant, Michał Mięszor, Jędrzej Kubin, Jasiek Nę-dza, Jasiek Nowobilski i wielu innych.

Ze strony Hohenlohego głównym reżyserem był dyrektor dóbr jaworzyńskich Edward Kegel, Niemiec, jegrzy przeważnie Niemcy, leśni Sło-wacy i adwokat Klein.

Po tych wszystkich awanturach, zwłaszcza po spaleniu schroniska, gdy żandarmi węgierscy wpadli do naszych wsi, śledząc za podejrzanymi o to spalenie, trzeba było się strzec, aby nie wpaść w ich ręce. Szczególnie zakarbowali oni sobie Dziadonia, pamiętając jego wystąpienie przy zburzeniu pierwszego schroniska i podej-rzewając go o spalenie drugiego. Więc zawzięli

się na niego. To też w zarządzie dóbr zakopiań-skich ostrzegano go, aby się nie ważył przecho-dzić przez granicę do znajomych, ani na jarmark, gdzie często bywał.

Dziadoń odważny był, ale i lekkomyślny, nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji swej dzia-łalności, zlekceważył to ostrzeżenie i wybrał się na jarmark do Kesmarku. Poznano go i areszto-wano. Przesiedział w Kesmarku dwa miesiące, potem prowadziło go skutego dwóch żandarmów do Lewoczy, gdzie miał być sądzony za gwałt publiczny i zniszczenie schroniska.

W Katowej Polanie upatrzywszy odpowiednią chwilę, pchnął Dziadoń żandarma z wysokiego brzegu do potoku, i skoczył w las. Drugi żan-darm chwycił go za cuchę, ta jednak została mu w ręku.

Strzelali za nim i wołali aby się wrócił, że mu nic nie zrobią, tylko spiszą z nim protokół w Le-woczy, ale on miał dosyć tej opieki i rwał jak zając w las. W lesie po cetynach ślizgały mu się kierzpce i padał, dopiero dostawszy się na tra-wiastą ścieżkę, było mu lepiej i znikł im z oczu. W grubym lesie rozbił na pniaku kłódkę od

kajdan. Chodził przez trzy dni o głodzie, w dzień leżał w smerczakach, a w nocy szedł ku granicy. Gdy dopadł Białki, przeszedł przez wodę i już był wolny. Nie poszedł jednak do domu, obawiał się, że tam go znów pochwyć. Poszedł na Renias, gdzie przysłała po niego żona i przyniosła mu jedzenie. Przesiedział jeszcze dzień w dziurze na skalce nad Łysą Polaną, a potem dostał się do Kuźnic. Tak był wyczerpany, że przeleżał tam tydzień, lecząc zerwane nogi.

O ile w tych wypadkach Dziadoń zachował się po bohatersku, to znów w sprawach które wymagają trochę roztargnienia myślowego i sprytu, był tępy. Rozum on miał, ale w domu, w głowie swej żony. Gdy był sam sobie zostawiony, nie umiał myśleć. Ona pamiętała i myślała za niego. On był rodem z Jaworzyny, ożenił się z córką hamernika, który przybył gdzieś z Bawarii. Stąd żonę nazywał Bajerką.

Gdy go leśniczy zapytał, wiele fur drzewa wywieźli onegdaj z lasu, on wołał do drugiej izby:

— »Staro! Staro! kielo to fur wywieźli?«.

— »Osiem« — odpowiedziała stara.

— »Osiem prosem pana leśnickiego« — powtórzył jak echo Dziadoń.

— »A czy wasza Bronka była w tym tygodniu przy sadzonkach?«.

— »Staro! cy Brońcia była w tem tyżniu przy sadzonkach?«.

— »Nie była« — rzekła stara z drugiej izby.

— »Nie była panie leśnicki«.

I tak było ze wszystkim.

Gdy chodziło o zeznanie leśnych w sądzie powiatowym w Nowym Targu, aby te zeznania były jednolite, zarząd dóbr pouczył ich jak mają zeznawać. Każdemu z nich dano odpowiednią notatkę, aby się nie pomylili w sądzie. Gdy przysłała kolej na Dziadonia, ten wyciągnął z kieszeni kartkę i wręczył ją sędziemu mówiąc, że tak mu kazał zeznawać »pon różńca«.

Sędzia zaznaczył w protokole, że zeznania Dziadonia jako bałamutne, nic ważnego nie przedstawiają dla sprawy sporu granicznego.

Gdyby była przy nim w sądzie »jego staro«, możeby powtórzyła się scena dialogu:

— »Staro! a jako to było z tym Morskim Okiem?« — I możeby zeznanie wypadło mniej bałamutnie.

— »Bo to wicie ona je Bajerka, sitko wie i bacy, haj«.

*

Jednym z wykonawców planów Zamoyskiego w sporze granicznym, był Blha, zwany Blachą, Słowak, praktykant leśnictwa. Był on przysłany przez rodzinę pod kierunek Zamoyskiego, znanego z twardej pracy i silnej ręki, dla uspokojenia zbyt wybujałego temperamentu. To się jednak nie udało, gdyż Zakopane przedstawiało zbyt wiele pokus dla młodych ludzi.

Ryc. 95.



SCHRONISKO NAD MORSKIM OKIEM, W KTÓRYM ODBYŁO SIĘ ZEBRANIE KOMISJI MIĘDZYNARODOWEJ 1 i 2.IX.1902.

W sporze o Morskie Oko oddał on Zamoyskiemu cenne usługi. To było pole do popisu dla niego. Ukryty za skałką na Miedzianem, puszczał kule z karabinu między budujących schronisko dla Hohenlohego cieśli.

Służył za tłumacza, znał bowiem język słowacki, węgierski i niemiecki.

Zamoyski nienawidził wszystkiego co niemieckie. Gdy zbudowano linię kolejową z Chabówki do Zakopanego, na budynku stacyjnym w Nowym Targu umieszczono oprócz polskiej nazwy, także i niemiecką: »Neumarkt«. Nikt się tym jakoś zbytnio nie gorszył. Jedynym człowiekiem, którego to raziło, i który kilkakrotnie o to w dyrekcji interweniował, był Zamoyski. Nic to jednak nie pomogło, bo władze uważały że wszystko w porządku, bo żydzi tak to miasto nazywają, podobnie jak Żywiec zwią Sajbuszą.

Wreszcie jednego dnia, a właściwie nocy, ten niemiecki napis został czarną farbą zamalowany. Łamano głowę, kto to mógł zrobić. Jeden ze służby kolejowej widział, jak z dachu budynku zjechał po rynnie jakiś człowiek i uciekł w pole.

Sprawcą tej psoty był Blacha, który podjął się napis zamalować i zręcznie to wykonał. Przybył on do Nowego Targu z bańką czarnej farby i z kwaczem, znalazł w nocy na stacji drabinę, przystawił ją do budynku i wylazł na dach. Tymczasem stróż nocny, spostrzegłszy drabinę tam, gdzie ona nie powinna być, zaniósł ją na swoje miejsce. Wobec tego Blacha musiał swoim przemyślem zjechać z dachu.

Komendant żandarmerii zaczął śledzić i przepytować ludzi, czy nie widzieli owej nocy kogo podejrzanego, ale umorzył wnet śledztwo, bo mu przeszkodziła w tym fura drzewa opałowego, dostarczona z dworskiego lasu.

Blacha cierpiał stale na brak pieniędzy. Mier-na pensyjka, którą pobierał w Kuźnicach, nie wystarczała mu przy jego lekkomyślności i wiecznym pragnieniu. Niewyczerpanym był w pomysłach wydobycia pieniędzy i pożyczkach, które zaciągał na prawo i lewo, nie myśląc o tym, że trzeba oddać.

Kończyło się zwykle tak, że poszkodowani zwracali się do zarządu w Kuźnicach, gdzie potrącano z pensji zaciągnięte długi i zwracano wierzycielom.

Ówczesny zarządca Szymborski, napastowany wielokrotnie przez jego wierzycieli, zawezwał Blachę i zażądał od niego, aby w przeciągu mie-

siąca uregulował swoje długi, inaczej będzie zmuszony go oddać. Blacha skruszony obiecał poprawę i powiedział, że gdyby otrzymał tydzień urlopu, to poszedłby do matki na Liptów i przyniósłby pieniądze na zapłatę swoich długów.

Otrzymał ten urlop, wrócił i rzeczywiście spłacił niektóre długi. Był więc spokój przez jakiś czas. Gdy przyjechał leśniczy z Zazadniej do Kuźnic, zapytał się zarządcy, po co posłano Blachę do Białki, gdzie u tamtejszego proboszcza cały tydzień siedział.

Pokazało się, że rzeczywiście był tam, grał z proboszczem w karty i naciągnął go na grubszą pożyczkę, którą spłacił poprzednie długi. Opowiadano o nim między innymi taki kawał: Chodził zaniedbany w zniszczonym ubraniu, bo w nim nieraz noce przesypiał. Ktoś ze znajomych zwrócił mu uwagę na to, że nie wypada, aby on, jeden z urzędników zarządu tak fatalnie się prezentował. Trzeba, aby kupił nowe ubranie.

— »Cóż, kiedy nie mam pieniędzy«.

— »Może pan ubranie wziąć i płacić ratami. Ot kupiec Papier zgodzi się na raty«.

»Dobrze«, pomyślał, ale zrobił lepiej.

Poszedł do sklepu, wybrał ubranie sportowe, kapelusz z piórkiem, ubrał się, oglądał w lustrze, zapytał o cenę i wyraził obawę, że będą go pokazywali palcami na ulicy, widząc go w nowym ubraniu i śmiać się z niego.

— »Ale co też pan mówi, zresztą niech pan wyjdzie na Krupówki i przekona się o tym«.

Wyszedł oczywiście i więcej nie wrócił.

Te i tym podobne jego psie figle zniecierpliwiły wreszcie zarządcę tak, że odprawił go bez porozumienia się z Zamoyskim, który był z tego niezadowolony, bo mimo wszystko lubił tego narwańca, bo rzeczywiście miał on w sobie coś sympatycznego nawet razem ze swymi wadami.

*

VI. Władysław hr. Zamoyski. W sporze granicznym znakomicie pomagali Zamoyskiemu jego oficjaliści i leśni. Byli mu szczerze oddani, bo Zamoyski nie był dumny i odpłacał im przyjaźnią, a oddanych sobie usług nie zapominał.

Był to człowiek twardy i surowy dla siebie. Mieszkał w Kuźnicach w jednym pokoju nad kancelarią, gdzie były tylko półki z książkami,

długi stół i kilka stołków; łóżka ani kanapy nie było. Sypiał na stole, na którym rozpościarał koc, drugi zwinięty w wałek służył za poduszkę, a trzecim przykrywał się w zimie. W lecie zaś rozłożonym numerem Times'a.

Przyzwyczajenie do sypiania na twardym stało się wzięło, iż jako młody chłopiec widział w Paryżu w hotelu Lambert generała, który sypiał na bilardzie. Odtąd kładł się na podłodze i nie chciał sypiać w łóżku.

Koni cugowych w Zakopanem nie trzymał, powóz był zarezerwowany dla jego matki generałowej, sam jeździł tylko prostą bryczką, a jak wypadło to i zwykłym wozem z osłonami z desek, jakim się zwykle nawóz wozi.

Nie pił żadnych trunków, nie palił, nie grał w karty, ani nie polował, chociaż podobno lubił polowanie. Oszczędnym był do ostatnich granic. Ludzie nazywali to sknerstwem. Powodem tego była myśl, aby nie uszczuplić majątku, który miał zamiar kiedyś zapisać na cele społeczne.

Nie był żonaty i nie miał spadkobierców, obawiał się, że majątek ten po jego śmierci zostanie roztrwoniony, sprzedany w niewłaściwe ręce, chciał go przekazać społeczeństwu w całości i zawarować jego nietykliwość.

Niestety nie znał ludzi i zanadto im ufał. Chciał być przykładem dla drugich, aby żyli tak jak on. Tymczasem uważano go za dziwaka i pokpiwano z niego zaocznie, a pochlebiano w oczy. Niektórzy dla przypodobania się jemu naśladowali go ale w drobnostkach, np. nosili igłę z nawiniętą nicią za klapą marynarki, składane nożyczki w kieszeni, w obecności jego nie pili, zbierali skrupulatnie okruszyny chleba przy obiedzie itp. Ale w spaniu na twardym stole, wstrzymywaniu się od palenia tytoniu, a zwłaszcza w wydatkach nikt go nie naśladował.

Wyzyskiwano go nieraz i narażano na straty. Nawet jego doradca prawny nieomieszkał go wyzyskać. Jeden z jego zaufanych zarządców naraził Zamoyskiego na stratę kilkuset tysięcy koron, które przegrał w karty.

Zamoyski pracował w swoim pokoju do późnej nocy, godziny pierwszej lub drugiej, a o ósmej z rana przychodził na śniadanie do tak zwanej »łóży« (masońskiej), gdzie się razem ze swymi urzędnikami stołował. Tam też zwykle swoich gości podejmował.

Przychodził zawsze w złym humorze. Zdjął czarną mykę z głowy, ciskał ją w kąt i narzekał: — »Tyle mam z ludźmi kłopotu, niech to raz diabli wezmą!«.

Oficjaliści starali się wprowadzić go w lepszy nastrój przez opowiadanie różnych kawałów, co im się zwykle udawało. Wtedy śmiał się i opowiadał różne swoje przeżycia.

Nie uważał co jadł i ile.

— »Co mi tu pani daje, przecież ja tego nie zjem«.

A zjadał zwykle dwa razy tyle. Jedząc, rozmawiał ciągle i zbierał starannie okruszyny chleba na obrusie i zjadał.

Jeździł trzecią klasą, a w Poznańskim czwartą, siedząc na walizce, lubił bowiem rozmawiać z miejscową ludnością. Żył w drodze maronie. Gdy jeździł do Warszawy w sprawie przekazania Fundacji Kórnickiej, w czym mu nie małe robiono trudności, brał na drogę pieczone ziemniaki lub ryż gotowany w garnku, aby tylko nie wydawać pieniędzy na restauracje. A nie był już wtedy zupełnie zdrow.

Zamoyski był prezesem Rady Nadzorczej kolei Chabówka — Zakopane, wobec tego miał legitymację, uprawniającą go do bezpłatnej jazdy pierwszą klasą. Jadąc raz do Lwowa trzecią klasą, siedział skulony w kącie; gdy przyszedł konduktor sprawdzać bilety, Zamoyski podał mu swoją legitymację.

Ten, przeczytawszy ją, spogląda podejrzliwie na niepozornie ubranego pasażera.

— Skąd pan ma tę legitymację?«.

— »Dali mi ją, więc mam«.

— »Ale jej pan nie będziesz miał«. — I zabrał legitymację z sobą.

Pasażerowie spoglądali nieufnie na Zamoyskiego, czekając co to będzie, ten zaś cieszył się w duchu, bo lubił takie kawały. Konduktor zameldował kontrolerowi, że jakiś pasażer posługuje się skradzioną legitymacją na pierwszą klasę. Ten, poznawszy Zamoyskiego, nabesztzał konduktora:

— »A toś pan ładnej kabały narobił, idźże prze-proś hrabiego«, — czym cały przedział rozweselił.

Gdy jechał sam w przedziale nocą, zdejmował obuwie, kładł na półkę, położył się na twardej ławce, podłożywszy zwiniętą marynarkę pod głowę i spał.

Przed Lwowem konduktor zwykle go budził, że pociąg już dojeżdża. Zamoyski zrywa się, ubiera

i szuka butów. Nie ma ich. Woła konduktora, szukają razem — nie ma. Kto je mógł wziąć? Na przeciwko siedziała jakaś pani. Konduktor mówi po cichu do Zamoyskiego:

— »Z tą panią jechał jakiś młody pan, wysiadł w Tarnowie, to on musiał je wziąć«.

Ta pani usłyszała jednak i zerwała się z ławki:

— »Jak pan śmie posądzać mego narzeczonego o taką rzecz! Ja mu o tym doniosę«.

Zrobiła się awantura, bo ten napisał list do Zamoyskiego, żądając zadośćuczynienia za obrazę. Jakoś to załagodzono.

Na Górnym Śląsku jechał raz Zamoyski z dobrym swoim znajomym Boguckim. Szeroko rozprawiali o sprawach polskich. Przysłuchiwał się ich rozmowie sierżant niemiecki. Nie zwracali jednak uwagi jako na Niemca. Gdy Bogucki wyjął cygaro, chcąc go zapalić, sierżant podał mu ognia. Bogucki powiedział po polsku — dziękuję. — Ten odpowiedział — proszę.

— »To pan Polak?« — pyta Zamoyski.

— »Nie, jestem Niemiec«.

— »A jak się pan nazywa?«.

— »Nowak«.

— »To pan przecież Polak!«

— »Nie, bo ja urodziłem się we Wrocławiu«.

— »A rodzice mówili po polsku?«.

— »Tak«.

— »Panie ja panu coś powiem. Ja mam żrebną kobyłę polskiej rasy, wezmę ją ze stajni i zamknę w chlewie. Powiedz pan, czy się wtedy urodzi świnia?«.

— »No nie, ale wie pan takiej gadki to ja jeszcze nie słyszał«.

— »Bo weź pan na rozum. Ojciec i matka pochodzą z dobrej polskiej rasy, a że pan przypadkiem urodził się w niemieckim chl..., hm, mieście, to to nie zmienia pana na Niemca«.

Dało to do myślenia temu sierżantowi, że przecie może nie jest tak, jak mu Niemcy w szkole wmaiwiali.

W czasie, gdy kolej była doprowadzona tylko do Chabówki, trzeba było tam przesiadać się na furkę góralską i jechać przez Obidową i Nowy Targ do Zakopanego. Jakiś gość z Warszawy, który pierwszy raz przybył w te strony, irytował się, że na stacji nie było bagażowego, któryby mu walizki zaniósł na furkę. Wygadywał głośno na nieporządki galicyjskie. Zamoyski, który tak-że wtedy przyjechał, zapytał się tego pana o co mu chodzi?

— »Nie ma posługacza na stacji, któryby mi zaniósł rzeczy do wozu«.

— »A, jeżeli o to idzie, to się zrobi«.

Wziął walizki i zaniósł do furki. Pasażer, widząc skromnie ubranego mężczyznę, wręczył mu napiwek. Prezes Rady Nadzorczej przyjął i schował do kieszeni ten zarobek.

Zdarzyło się, że ten pan jadąc do Kuźnic zobaczył Zamoyskiego na drodze, jak długą żerdzią oblamywał gałęzie suche w alei. Zamoyski poznał swego dobroczyńcę i uklonił mu się. Ten pyta górala, kto to jest i czemu się tak nisko mu uklonił?

— »To przecie nasz hrabia«.

Na Zazadniej wybudowano nową leśniczówkę. Leśniczy Bieńkowski dla łatwiejszego utrzymania czystości, kazał podłogi pokoi mieszkalnych polakierować. Zamoyski uważał to za zbytek. To też, gdy przyszedł tam i zobaczył ładnie pomalowane podłogi, zdjął buty i w skarpetkach wszedł do pokoju, aby jak mówił, nie niszczyć tak pięknego malowidła.

Kto obserwował krytycznie Zamoyskiego, dostrzegał w nim pewną dwoistość. Było w nim jakby dwóch ludzi. Jeden wielki patriota, szczodry dla celów społecznych, dający nieraz bezimiennie wsparcie, materiał na budowę szkoły, a drugi małostkowy, oszczędny aż do skąpstwa, unikający wszelkich wydatków, nawet koniecznych.

Znając chciwość górali i przyzwyczajenie do korzystania z lasu dworskiego, nic im darmo nie dawał i kazał za wszystko płacić. Gdy w jego obecności wypłacano furmanom należności za zwózkę drzewa, od jednego należała się do wydania reszta sześć centów. Górale znając nieustępliwość Zamoyskiego podniecali dla zabawy tego chłopca:

— »Prośże wielkmożnego pana, to ci dutki da-ruje, prośże!«.

Ten głupi długo prosił, do nóg się schylał i nic nie uzyskał, a górale mieli zabawę i śmiali się z niego.

Gdyby Zamoyski miał przy sobie zaufanego człowieka o szerokim poglądzie na sprawy społeczne, możeby tego drugiego jego oblicza nikt nie oglądał.

Niestety, ludzie blisko niego stojący, chcąc mu się przypochlebić, przytakiwali mu w wypadkach, w których jego skąpstwo brało górę i ukazywało go w niekorzystnym świetle.

Gdy ksiądz Kaszelewski budował kościół w Kościeliskach, zwrócił się do Zamoyskiego, aby on jako kolator (lasy w Kościeliskach należały do dóbr zakopiańskich) przyczynił się do tej budowy przez oddanie bezpłatnie drzewa. Zamoyski, mając niechęć do księdza, gdyż mianowano go proboszczem bez jego zgody, odmówił. A dawał przecie nie jeden raz materiał na budowę szkół!

Po rozstrzygnięciu sporu o Morskie Oko na naszą korzyść, umyśliła hr. Maria Zamoyska w miejscu, gdzie zgorzał domek Hohenlohego, wystawić pamiątkową kaplicę. Wiadomość o tym rozeszła się szybko między góralami i była przyjęta z zadowoleniem przez tych, którzy tam pasali przez lato i byli pozbawieni nabożeństwa, zwłaszcza przez kobiety.

Gdy Zamoyski wracał z biskupem, którego wozili do Morskiego Oka, stara góralka zatrzymała powóz, chwyciła za rękę biskupa i ucałowawszy ją z nabożeństwem zapytała czy to prawda, że mają budować kaplicę przy Morskim Oku. Zapewniono ją, że prawda.

— »Jegomość, cy to nie cygaństwo, bo różnie godajom«.

I miała rację, bo kaplica do dzisiaj jeszcze nie została wybudowana.

Sprawa ta miała taki przebieg. Gdy zrodził się pomysł wybudowania kaplicy, uproszono ks. biskupa Nowaka, że poświęci założenie kamienia węgielnego.

Rozpisano konkurs na projekt kaplicy i rozdano nagrody, ale żaden z projektów nie podobał się Zamoyskiemu. Zawezwał więc architekta Wesołowskiego, aby mu zrobił szkic na kaplicę z granitu, 3 metry szerokości na 10 długości zupełnie prostą, bez żadnych ozdób.

Ten zrobił szkic ołówkowy, który Zamoyski zaakceptował.

— »Jutro zaczynamy budowę«.

— »Przecież trzeba rzecz opracować, zrobić plan szczegółowy...«.

— »Nie, nie trzeba nic. Jutro jedziemy«.

Nazajutrz podczas ulewnego deszczu pojechały cztery odkryte furki do Morskiego Oka, Zamoyski z siostrą, architekt Wesołowski, inżynier Nieśczyński, zarządca dóbr i robotnicy.

Przemoczeni poszli zaraz na wzgórze, gdzie było spalone schronisko, zaczęli oczyszczać plac, oznaczyli miejsce pod kaplicę i wytoczyli węgly budowy.

Zamoyski zastanawiał się nad tym, poco on prosił biskupa o poświęcenie kamienia węgielnego. W tym wypadku trzeba by zrobić wielką uroczystość, sprosić gości, i urządzić przyjęcie, to kosztuje, a przecie kapliczka będzie skromna. Wystarczy jak przyjedzie ks. Madej z Białki i poświęci kamień.

Na to poświęcenie zbudował Wesołowski ołtarz prowizoryczny pięknie przystrojony, i ceremonia odbyła się w cichości. Zamoyski jednak był czegoś niezadowolony, chodził tam i z powrotem i rozmyślał. Wesołowski chce mi tu katedrę zbudować, ja na to nie mam pieniędzy. Nic z tego nie będzie.

I budowa kaplicy została zaniechana. Skończyło się na pięknych projektach.

Trudno sobie dzisiaj wyobrazić co by się było stało, gdyby dobra zakopiańskie dostały się w ręce przedstawicieli naszej mniejszości narodowej. Spór graniczny byłby bez rozgłosu w cichości załatwiony po myśli Węgrów i Hohenlohego, tym bardziej, że nasze władze administra-



Ryc. 96.

Fot. Jerzy Młodziejowski.

LIMBA NA GRZBIECIE ŻABIEGO.

cyjne z niezrozumiałych powodów szły na rękę naszym przeciwnikom. Rzecz to nie do pojęcia aby te czynniki, które miały bronić naszego stanu posiadania, wręcz przeciwne zajęły stanowisko.

Zamoyski był dla tej sprawy człowiekiem wprost opatrnościowym, był tą sprężyną, która działała nieustannie, pobudzając ludzi i instytucje do czynnego wystąpienia i obrony naszych praw. Gdyby nie jego niepożyta energia i nieustępliwość, nie byłibyśmy dzisiaj w wyłącznym posiadaniu Morskiego Oka.

Za to należy mu się cześć i uznanie potomności. Należy mu się pomnik, jako widoczny znak tego uznania. »Wiarę swego życia, — jak pisał Stefan Żeromski w podniosłym szkicu »Drożyną i Zamoyszczyzną« — swych prostych, spokojnie jednostajnych dni zamknął w testamentie-zapisie, który, jako wzór surowej cnoty polskiej, jako zwięzły akt woli nie żelaznej, lecz stalowej, polerowanej przez pracę ciała, przez rozległość i wnikliwość rozumu, przez męstwo ducha czynnego, winien być czytany w szkołach na równi z arcydziełami wieszczów narodowych«.

STANISŁAW BARABASZ

GRODZIEC ŚLĄSKI I JEGO WŁAŚCICIELE

Powstanie wsi i jej założyciele. Wszystkie wsie z nazwą pochodzącą od grodu należą do najstarszych osad, tak w Polsce, jak i na Śląsku. To też Grodziec wymieniony jest już w pierwszym spisie miejscowości śląskich w r. 1305 między wsiami, które składały biskupowi wrocławskiemu dziesięcinę w zbożu. Nazwany jest tam wsią Świesza, należał zatem do Świesza, które to imię jest skróconym imieniem Świętosza, zapewne założyciela wsi Świętoszówki, która razem z Bierami stanowiła — i stanowi — kompleks dóbr grodzieckich¹.

Powstanie swoje i nazwę zawdzięczał Grodziec położeniu swemu na miejscu nieco wzniesionym ponad otaczający teren bagnisty, który tym samym utrudniał dostęp do grodu. Na tym to miejscu, obronnym z natury, wznosił właściciel osady siedzibę swoją — zamek, pierwotnie zapewne drewniany, potem, najwcześniej przy końcu wieku 14, murowany, w stylu gotyckim, najpierw parterowy, z wieżą służącą do obrony przed napastnikami, potem uzupełniony dostawieniem I i II piętra. Wnętrze zamku przebudowano w późniejszych czasach w stylu renesansowym, nazewnątrz zaś utrzymano pierwotny charakter budowli, wskutek czego zamek grodziecki jest »jedyną w województwie śląskim świecką budowlą, sięgającą zapewne czasów gotyckich«².

W nim założyli siedzibę swoją właściciele osady — może potomkowie owego Świętosza — którzy też od niej przyjęli nazwę: Grodiczkich, Grodeckich lub Grodzieckich. Nazwa ta powsta-

ła dopiero w 16 wieku; w średnich wiekach przychodzą tylko imiona: w r. 1442 po raz pierwszy: Pelka z Grodca, później, ale jeszcze w 15 wieku: Zema, zwany inaczej Czema (1452), Waniek z Gr. (1455), Mikołaj Zema de Grodziec (1460 i 1462), Irzyk i Adam (1472 i 1475).

W drugiej połowie 16 w. ustala się nazwa: Grodecki i właściciele Grodźca zajmują poważne stanowisko w zarządzie Księstwa Cies.; Henryk Gr. jest radcą książęcym oraz starostą cies. Takim starostą był także Krzysztof Grodecki, właściciel Grodźca i Bierów, który należał do Komisji, zestawiającej długie ksiągą cieszyńskich (1610)³. W r. 1637 przychodzi jeszcze Henryk Grodziecki, z Brodów na Grodźcu.

Krzysztof Gr.⁴, syn Macieja, którego imię przychodzi w r. 1562, miał kilku braci. Jeden z nich, Jan został kanonikiem warmińskim w Polsce, potem wrocławskim, ołomunieckim, był przyjacielem sławnego biskupa warmińskiego Hozjusza, któremu towarzyszył na sobór trydencki, wreszcie został biskupem ołomunieckim (1572). Żoną Krzysztofa była Pawłowska, siostra biskupa ołomunieckiego Stanisława (1579), który wystawił własnym kosztem murowany kościół w Grodźcu. Dwaj bracia Krzysztofa, Ludwik i Piotr, byli kanonikami ołomunieckimi i ci zrzekli się na jego rzecz, za nieznaczną opłatą pieniężną, swoich udziałów na Grodźcu (1593), przez co Krzysztof stał się jedynym właścicielem tych posiadłości⁵.

Bratankiem jego, synem Henryka Grodeckiego,



(Ze zbiorów
zamkowych).

ZAMEK GRODZIECKI. STRONA FRONTOWA.

był Melchior, jezuita, umęczony na Węgrzech w Koszycach podczas wojny 30-letniej (1619), zaliczony następnie w poczet błogosławionych, którego imię nosi »Towarzystwo Opieki nad młodzieżą katolicką w Cieszynie«⁶.

Rodzina Grodeckich, zwiąawszy się przez obu biskupów z Morawami, przeniosła się z czasem do Czech, a usunęła się ze Śląska. W drugiej połowie 17. wieku spotykamy wprawdzie jeszcze jednego Grodzieckiego, Krzysztofa Ferdynanda, ale ten już nie posiadał Grodźca, tylko Zebrzydowice⁷.

O jednym z Grodzieckich, pochodzącym ze Śląska, podaje sporo ważnych wiadomości Karol Buczek w art. pt. Wacław Grodecki (Przegląd Kartograficzny, lipiec 1933, str. 69—86). Wacław Gr. był synem Macieja i Heleny ze Starowiejskich, bratem Jana, biskupa ołomunieckiego (1572) i Henryka, przedstawionego na płycie nagrobkowej w kościele grodzieckim. Kształcił się na uniwersytecie krakowskim, gdzie się zapisał w poczet słuchaczy w r. 1550, gdzie też uzyskał stopień doktora filozofii (1564). Studiował także w Lipsku, dokąd wyjechał jako nauczyciel Krzysztofa Komorowskiego, późniejszego kasztelana oświęcimskiego i sądeckiego oraz dziedzica Żywiecczyny. Był »uczonym przyjacielem« historyka polskiego Kromera i na jego wezwanie opracował w latach 1561—1563 pierwszą dotychczas znaną mapę Polski, dedy-

kowaną królowi Zygmuntovi Augustowi, wydaną w Bazylei.

Gdy otrzymał kanonię ołomuniecką i dziekanie kolegiaty berneńskiej, osiadł na stałe na Morawie. Umarł w r. 1591.

Grodziec w rękach Markłowskich, Sobków i Laryszów. W jaki sposób rodzina Markłowskich, wywodząca się z Żebraczy (zam. k. Ośw., na Śl.), doszła do posiadania Grodźca, nie wiadomo. Prawdopodobnie przez pokrewieństwo. Wspomniany poprzednio Henryk Grodecki miał żonę Zofię Markłowską (1560). Markłowscy mieli również posiadłości na Morawach, jak Grodecy, a ich tytuł baronowski opierał się na posiadłości: Pernstein; pełny ich tytuł zatem brzmiał: M. z Żebraczy br. na Pernsteinie⁸.

W r. 1663 został Joachim Markłowski, właściciel Grodźca, Hermanic, Nierodzimia i Błogocic, rotmistrz austriacki, zamordowany przez bandę rabusiów, podobno z namowy młynarza grodzieckiego⁹. Z polecenia starosty cieszyńskiego, Kaspra Borka (właściciela Grodziszcz i Ropicy), zjechali na miejsce Skoczowski z Kojkowic i Górecki z Kornicz dla spisania inwentarza żywego i martwego, który zastali w tych 4 wsiach, wyjmując tylko te rzeczy, »które Helena Markłowska, wdowa, przywiozła ze sobą i które ona podała za swoją własność«.

Inwentarz grodziecki przedstawiał się według



Ryc. 98.

Fot. Pohl.

Plaskorzeźba w kościele grodzickim, z napisem:
Gindrzych Grodeczki z Brodow na Grodzczi. 1587.

tego spisu bardzo skromnie, co jest zrozumiałym wobec wyniszczenia, jakiego doznał Śląsk podczas niedawno zakończonej wojny 30-letniej i wskutek rabunku, dokonanego przez morderców: »w 2 świetlicach, mieszczących się w budynku drewnianym, znajdowały się świeczniki, jeden z rogami jelenimi, drugi z rogami danielowymi, 10 obrazów wielkich i małych, 6 stoliczków zielonych, 6 tabul zielonych, malowanych na czerwono (zapewne z herbem), 1 łóż z podniebiem, zielone, i drugie białe, proste, stół szynkowny z 3 tuzinami szklanek w puzdrach drewnianych z herbem i literami I. M. Z. (początkowe litery nazwisk właścicieli) ¹⁰, 6 szklanek rysowanych i 12 innych wielkich i małych, 2 korce 3 ćwierci i 2 miarki pieczek gruszcanych, kadłubów na zboże 20, stary zegar, który »dano do świetlicy na zamek«, 134 sztuk przędzy, które złodzieje zostawili — te »pani wdowa wzięła na odzież dla dzieci, gdyż mordercy zabrali wszystkie ubrania dziecinne«, w piwnicy 5 drzewek (beczek) z winem i drzewko octu, w zamku na górze w świetlicy stary stół, w komorze 7 korcy i 1 ćwierć śliw (suszonych, spis odbywał się w grudniu 1663), małdr i 2 ćwierci pieczek jablecznych i w małych drzewczkach nieco starych trześni i wiśni, »które sobie wdowa zostawiła na wychowanie dzieci«.

Przytaczam te szczegóły dlatego, ponieważ one nam dają pewne wyobrażenie o ówczesnym sposobie gospodarowania. W skład inwentarza wchodziło sporo naczyń szklanego, gdyż właściciel miał nie tylko gorzelnię, ale także browar, w którym warzył piwo dla swoich poddanych, oraz bardzo dużo owoców suszonych, które widocznie stanowiły ważny artykuł żywnościowy szlachty ¹¹.

Od Marklowskich przeszedł Grodziec wraz ze Świętoszówką i Bierami w ręce Jana Dama z Biedrzychowic (Frydersdorf) na Śląsku Gór., ale tylko na krótki czas, skoro już w r. 1666, a więc w 3 lata po śmierci Joachima Marklowskiego, odkupił go Karol Jerzy Sobek ze znanej rodziny Korniczów (do której należeli także Górecy i Rymultowscy), który go przekazał synom swoim, Henrykowi Ferdynandowi i Karolowi. Inny członek tej rodziny, Wilim Bogumił Sobek, posiadał równocześnie (1692) na Śląsku Górnym wsie: Katowice, Mysłowice, Bogucice, Brzezinkę, Barwinów (Brynów) i Kuźnicę ¹².

Wdowa po Karolu Sobku, Zuzanna Maria, rodzona Centnerówna, sprzedała, za zgodą męża swego i brata jego, Henryka Ferdynanda Sobka, właściciela Ochab Górnych i Wielkich — Grodziec, Świętoszówkę, Biery i Jaworze Henrykowi Ferdynandowi Laryszowi, który wówczas posiadał już Karwinę, Olbrachcice, Roztropice, Bielowicko i Ochaby (r. 1701, zatwierdzenie z r. 1704) za 17.000 tal. śląskich.

Ten utworzył ze swoich posiadłości, do których należały także 4 wsie na Śląsku Górnym, fideikomis rodzinny dla najstarszego bratanka (1730). Spadkobierca miał się zobowiązać przy-



Ryc. 99.

Fot. Tadeusz Kubisz w Cieszynie.

Strop drewniany w jednym z pokoiów zamku
w Grodźcu Śląskim z datą 1693 r.

sięgają, że żadnej części tych posiadłości się nie pozbędzie ani nie obciąży długami, lecz co roku zaoszczędzi 2.000 tal. i ulokuje na hipotecę, a gdy kwota zaoszczędzona dojdzie do 30.000 t., dokupi za nią inne posiadłości¹³. Postanowienie fideikomisowe zostało zatwierdzone przez cesarza, ale Grodziec z przyległymi wsiami: Bierami, Bielowickiem, Roztropicami i Świętoszówką przestał należeć do fideikomisu, ponieważ jeden ze spadkobierców zamienił go na sąsiadującą z Karwiną Stonawę. Tym, który odstąpił Stonawę wzamian za dobra grodzieckie, był Erdmann br. Marklowski; w r. 1744 wrócił zatem Grodziec znowu do rodziny Marklowskich¹⁴.

Grodziec w rękach Kaliszów i ich spadkobierców. Tym razem niedługo był w posiadaniu Marklowskich. Po śmierci Erdmanna¹⁵ dostał się trzem jego córkom (1765), które gospodarowały w nim wspólnie przez 2 lata, poczem podzieliły się posiadłościami odziedziczonymi po ojcu i Grodziec otrzymała córka Helena, która wyszła za mąż za Leopolda Gotliba br. Calisch (Kalisz) i wniosła mu w posagu Grodziec wraz z sąsiednimi wsiami (1772). Następca jego, Fryderyk, wydzierżawił Gottliebowi Schmidtowi na 6 lat, począwszy od r. 1800, Grodziec, Biery i Świętoszówkę, wraz z prawem robienia wódki, przysługującym tym dobrom i wsi Bielowicko, prawem wyszynku wina oraz ze wszystkimi użytkami, opłatami, robocizną, rybołówstwem, karczmami, młynami i dziesięciną w gęsiach, uiszczaną przez poddanych.

Właściciel zastrzegł dla swego użytku prawo warzenia piwa, polowanie wraz z obsługą, sądownictwo nad poddanymi, tartak w Bielowicku, kamieniołom, 2 cegielnie, 4 małe wapienniki, drzewo do palenia w nich i ludzi do obsługi, 130 sągów drzewa na opał do zamku, oprócz tego 3 sągi dla chirurga skoczowskiego i dziesięcinę w zbożu dla proboszcza; dzierżawca zobowiązał się »postępować z poddanymi po chrześcijańsku, przyzwocie i według przepisów, żeby nie było skarg«. Właściciel zastrzegł dla siebie także zamek, w którym mieszkał dalej, a dzierżawcy odstąpił 6 pokoi w budynkach gospodarczych¹⁶.

Gdy Helena Kaliszowa umarła (1818), objęła po niej Grodziec córka jej Karolina, wdowa po pułkowniku de Mara, a po jej śmierci, która

nastąpiła w tym samym roku, co matki, spadek przeszedł na jej nieletnie dzieci, Ludwika i Zofję de Mara.

W r. 1818, dla zabezpieczenia praw spadkobierców, nakazał sąd ziemski spisanie inwentarza grodzieckiego, z którego poznajemy znowu stan tego gospodarstwa, jakże różny od tego z roku 1663. Inwentarz obejmował znaczną sumę pieniężną w gotówce, w walucie wiedeńskiej, dukatach złotych, talarach złotych, srebrnych i w obligacjach, w bogatej zastawie srebrnej, w przedmiotach galanterijnych i biżuterjach srebrnych, złotych, perłowych i brylantach. Urządzenie zamkowe, bieliznę, szkło, porcelanę, przedmioty cynowe, miedziane, mosiężne i żelazne oszacowano na przeszło 9000 fl., za sprzedany bilard zamkowy wzięto 101 fl., książki, znajdujące się w domu Kaliszów w Cieszynie, na przedmieściu górnym (gdzie teraz Boromeuszki), oceniono na 667 fl. Wartość całego Grodzca ze wszystkim oszacowano na dwieście kilkadziesiąt tysięcy zł. ówczesnej waluty. Po odtrąceniu pasywów, do których należały między innymi zapłata lekarzy, którzy leczyli Helenę de Mara i jej córkę (chirurga Alschera i doktora medyc. Lyro), za malowanie herbów, za naukę na fortepianie i pisanie nut (Kozielskiemu), pensja ochmistrza młodego pana i profesora, służby za pół roku, pozostała czysta wartość inwentarza, oprócz dóbr grodzieckich, które oceniono na 65.000 fl., w kwocie 215.973 zł. waluty wiedeńskiej¹⁷.

Majątek ten przypadł wnukom Kaliszówny Helenie, Ludwikowi i Zofii Mara (1825)¹⁸. Sąd ziemski jednak zastrzegł, że posiadanie jego jest tylko warunkowe, gdyż dzieci szlachcica węgierskiego, jakim był pułk. Mara, nie mogą dziedziczyć spadku w Austrii bez uzyskania prawa zamieszkania. Starali się o ten inkolat przez szereg lat, lecz Ludwik nie otrzymał go, ponieważ »mimo swego wieku 25 lat nie położył żadnych zasług dla państwa«. Otrzymała go siostra jego, pomimo tego, że wyszła za mąż znowu za szlachcica węgierskiego, Edwarda Gustawa hr. Apponyi (1826). Ona weszła w posiadanie wyłączne Grodzca, wypłaciwszy bratu odszkodowanie za połowę majątku (1834)¹⁹.

Drugim jej mężem był br. Zobel. Gdy umarła w r. 1863, odziedziczyły Grodziec dzieci ich, Henryk i Anna Eleonora, która po śmierci brata została jedyną spadkobierczynią majątku²⁰.

Ta wyszła za mąż za hr. Zamoyskiego (1876)²¹. Zamoyska wydzierżawiła najpierw części swoich posiadłości, poszczególne folwarki oraz szereg gruntów chłopskich, które należały do dóbr grodzieckich, i sprzedała 3 morgi lasu (kupcowi z Żywca), a następnie sprzedała wszystkie swoje posiadłości: Grodziec, Biery, Świętoszówkę, Bielowicko i Roztropice, fabrykantowi z Białej, Franciszkowi Strzygowskiemu (1884), za 300.000 fl., wraz z całym inwentarzem, który policzono na 10.000 fl. Zamoyska zastrzegła sobie z inwentarza »zbiór broni, sprzęty zamkowe, zegary, wazy, kasetki, książki znajdujące się poza biblioteką, wszystkie przedmioty umieszczone w izbie wieżowej, na II piętrze i w t. zw. izbie kontrolnej, oraz parcelę, na której był grób rodzinny wraz z najbliższym otoczeniem«. Kupujący wziął na siebie wszystkie długie ciążące na majątku, zobowiązania fundacyjne na rzecz kościoła ewangelickiego w Cieszynie i na rzecz szkoły, uznał serwitut pastwiskowy dla 23 krów chłopskich i umowy dzierżawne, poprzednio zawarte, zobowiązał się przy przyznawaniu miejsc w domu ubogich w Grodźcu, założonym przez Zobla, w pierwszym rzędzie uwzględniać służbę sprzedającej i zostawić jej 6 pokoi na II piętrze, a nadto, w razie sprzedaży posiadłości przed końcem r. 1890, przyznał jej pierwszeństwo odkupu²².

Dobra grodzieckie pozostawały w posiadaniu Strzygowskich do r. 1927. W tym roku kupił je od spadkobierców Strzygowskiego: Heleny Schmal, Leopoldyny Pauker, Olgi Weiss, Kamilli Bosch, Franciszka, Ignacego, Karola i Herminy Seidl (zameżnej Rössler), dr. Ernest Habicht, b. szef departamentu Min. Spr. Zagr. w Warszawie i ostatnio dyrektor dóbr w Przeworsku²³. W ten sposób dobra te, położone w Grodźcu, Bielowicku, Bierach, Kowalach, Roztropicach i Świętoszówce, obejmujące razem obszar 1306 ha, dostały się z powrotem w ręce polskie. Po odstąpieniu z nich 100 ha na parcelację, gospodaruje nimi obecny ich właściciel przy pomocy córki Irmy i zięcia Zdzisława Bossowskiego, otaczając staranną opieką i pietyzmem zamek i jego urządzenie, oraz wszystkie przedmioty zabytkowe z dawnych czasów²⁴.

²¹ Fr. Popiołek: *Dzieje Śląska*, str. 48.

²² Dr. T. Dobrowolski: *Sztuka Wojew. Śl.*, str. 25. Do przebudowy odnoszą się zapewne dwie daty, które się przechowały; jedna na chorągiewce dachu z herbem

Markłowskich »Wieniawę« i cyfrą na niej: 1654, druga na stropie jednej z sal zamkowych: 1693.

²³ Dokumenty w cieszyńskim archiwum zamkowym i u Kaufmanna: *Gedenkbuch f. die Stadt Teschen* (w odpisach). O Grodźcu, przychodzącym w dokumentach, dotyczących Księstwa Oświęcimskiego, i w bulli papieskiej z r. 1229 (której autentyczność została zakwestjonowana), dotyczącej klasztoru tynieckiego, nie można napewno powiedzieć, że to był Gr. Śląski, ponieważ miejscowość z tą samą nazwą znajduje się także w Siewierskim (wojew. Kieleckie), a Gródek był w Ks. Oświęcimskim (akta z 1531). W r. 1452 przychodzą jako właściciele Grodźca, Pelka i Czema (odpisy dyplomów w arch. zamk. ciesz.).

W r. 1604 zapisał Krzysztof Gr. Grodziec żonie swej, rodz. Mleczkówny, jako wiano. (*Kaufbästeltungen des Slände. Sąd Okręg. ciesz.* str. 17).

²⁴ Szersznik w swej: »Genealogia« (muzeum cieszyńskie, rękopis D. D. VIII, 33) utożsamia Grodeckiego z Brodeckim, który miał herb »Jastrzębiec«, i nazwisko: Brodecki, pierwotnie napisane, poprawił na: Grodecki (littery gotyckie: B i G są podobne do siebie). W dziele: *Siebmachers Wappenbuch*, 1-szej części IV tomu p. t. *Der Adel v. Oesterreichisch. Schlesien*, pisze K. Błażek, autor tej części (str. 123): Grodetzki (Grodecki), polskiego pochodzenia, herbu Radwan: na czerwonym polu chorągiew kościelna, Mikołaj Gr. na Strumieniu — uważa go zatem za tego, który wieś Strumień podniósł do rzędu miast (1482), Henryk Gr., 1567, należał do szlachty, która składała hołd ks. Sydonii Katarzynie, 1562, był radcą książęcej i starostą ciesz. (Przedstawiony na płaskorzeźbie).

O Grodeckich i Brodeckich osobno pisze Pilnaček J.: *Staromoravští rodové*, który przedstawia herby: Jastrzębiec i Radwan (tab. 5 i 64, str. 113). Herb »Radwan« jest przedstawiony na renesansowych oddrzwicach kamiennych zamku i na płaskorzeźbie, znajdującej się u wejścia do kościoła (przeniesionej ze starego kościoła), z napisem: *Usnul w Panu Bohu urožený Pan Gindraych Grodeczki z Brodowa a na Grodzki tu to pod ten kamen (em) pochowa geho hosti dussi Pan Buh raczi milostiw bycz leta Panie 1587*.

Podany w »*Scuta nobilium Ducatus Tesch.*« (muzeum ciesz. D. D. VIII, 33) i w ślad za tem w moich »*Dziejach Śląska*« herb Grodeckich jest błędny.

²⁵ Akta sądu ziemskiego. Między świadkami aktu przychodzą Hanusz Pawłowski na Ujeździe i Mirowie oraz Wacław Pawłowski na Hendersdorff.

²⁶ Ks. Jan Poplatek, T. J.: *Błogosławiony Melchior Grodziecki T. J.*, Kraków, 1933, u którego napotyka się pewne nieścisłości (np. błędna jest notatka o »Brodzie, przedmieściu pod twierdzą cieszyńską« i o kościele grodzieckim, gdyż kościół obecny został wybudowany w roku 1910, a z tego, który miał być postawiony przez Henryka Gr. (w 16 w.), sterczą tylko ruiny).

²⁷ Akta sądu ziemskiego (archiwum zamkowe w Cieszynie). Według wyciągu z testamentu z r. 1642, z 23.VI, był wówczas Jerzy Dietrich Grodecki z Grodźca (muzeum cieszyńskie). W tym akcie przychodzi też Grodziecki z Brodów, właściciel Policzan i Studenic w Czechach.

W Polsce przychodzą również Grodzicy w 17 wieku: obleżonego przez Kozaków i Tatarów (1655) Lwowa bronił na czele załogi »szlachcic z ziemi lukowskiej, jednooki generał artylerii, wiarus spod znaku Wallensteina, sławny już obrońca Kudaku (twierdzy nad Dnieprem), Krzysztof Grodzicki«. Wybitnym kaznodzieją w tymże czasie był Stanisław Grodzicki, Jezuita. Czy tych Grodzickich łączyło coś ze śląskimi Grodeckimi, tego nie zdołałem stwierdzić, zwłaszcza, że Grodziec znajduje się nie tylko na Śląsku.

⁸ O Marklowskich wydał książkę Arwed Marklowski p. t. »Urkunden und Nachrichten über die Familie v. Marklowski«. Herb ich: »Wieniawa«, wymalowany na stropie w jednej z sal zamkowych.

⁹ Szersznik pisze w swej »Genealogia«, że żona Markl. miała wiedzieć o zamachu.

¹⁰ Te litery wraz z datą 1654 i herbem znajdują się na chorągiewce dachowej, przechowanej w muzeum zamkowym.

¹¹ Rękopis ze spisem inwentarza znajduje się w Polskiej Akademii Umiejętności, l. 1067. Pretensje Skoczowa do dostarczania piwa Groźcowi wykupił Marklowski opłatą pieniężną (Kniha weypowiedi w muzeum sądu okręg., str. 655).

¹² Akta sądu ziemskiego, plik p. t. Grodeczke statky i »Alte Kaüfe über Landtafelgüter«. O Damie jest wzmianka dwukrotnie w aktach, raz w dok. z r. 1704, w którym sąd ziemski wezwał Henryka Ferd. Larysza, aby przedłożył »kup zawarty między nieboszczykiem Damem a Karolem Sobkiem«, drugi raz mówi o nim Zuzanna M. Sobkova w akcie sprzedaży Groźca. Kontraktu kupna Groźca przez Damę w aktach nie ma. Dam wymieniony jest też w spisie szlachty ciesz. obecnej na sądzie ziemskim w r. 1661 (arch. zamk. plik 47). Karol Sobek miał także wolny dom w Skoczowie, który sprzedał w roku 1700 żydowi Jakubowi Abrah. Singerowi (Sels. Archiv, VI, nr 2).

¹³ Sąd okręg. w Cieszynie, tabuła kraj. t. V, str. 1. Ten

Henryk Ferdynand Larisz został pochowany w kościele dominikańskim w Cieszynie, gdzie — jak pisze ks. Leopold Szersznik — »jego miedzianą trumnę odkryto po pożarze z r. 1789 i zużyto na cele kościelne«. (Zaranie Śl. r. X, zesz. 3, str. 152).

¹⁴ Archiwum zamkowe; Akta sądu ziemskiego.

¹⁵ Do Erdmanna M. należały także Górki, gdzie też został pochowany. (Szersznik: »Genealogia«).

¹⁶ Muzeum sądowe, akt Nr. 36. Portrety niektórych członków tej rodziny są przechowywane w zamku grodz., lecz bez napisów.

¹⁷ Kozielski, naucz. w Groźcu.

¹⁸ Tabuła kraj. t. V, str. 278 i 283 i t. VI, str. 8—34.

¹⁹ Tabuła krajowa t. V, str. 110.

²⁰ Stoi do dziś w Groźcu kaplica grobowa Zobla, a w metryce parafjalnej jest data urodzenia córki Anny Eleonory 10 imion, wraz z dopiskiem, że małżeństwo matki jej protestantki z Zoblem, katolikiem, zostało uznane przez biskupa wrocławsk. za nieważne, a córka dzieckiem nieślubnem. Dlatego zapewne Zobel, dla którego nie było miejsca na cmentarzu katolickim, wystawił sobie poza nim kaplicę grobową. Chrzcił dziecko pastor Koczy, lecz zapisane jest w metryce katolickiej.

²¹ Tabuła krajowa t. V, str. 1205.

²² Tabuła krajowa t. 1884, l. 8106.

²³ Zbiór dokumentów sądu okręgowego w Cieszynie r. 1927, l. 441.

²⁴ Do cennych zabytków, umieszczonych w »muzeum« zamku grodzieckiego, należą wykopaliska przedhistoryczne z epoki kamiennej i brązowej, o których jednak nie wiadomo, z jakiej miejscowości pochodzą, ze Śląska, czy skądinąd.

W jednym z pokoi mieści się biblioteka, zawierająca 928 dzieł, starych (z XVI w.) i nowych, między nimi szereg wydawnictw N. K. N. z czasów wielkiej wojny.

FRANCISZEK POPIOLEK

PRZEGLĄD MUZEALNY

JANOSIKOWY POMNIK. ZE WSPOMNIEŃ MUZEALNYCH

Działo się to przed dziesięciu laty. Moja opowieść jest tylko skrótem »akcji«, która ciągnęła się kilka miesięcy i rozgrywała w kancelarii Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Jej uczestnikami byli: podpisany i góral X. Nazwiska nie podaję; czułby się tym bardzo dotknięty, a i tak ma dostateczne powody, aby mnie nie kochać.

Zjawił się raz u mnie nieznany dotąd osobiście gazda, w średnim wieku, krępy, o twarzy zgo-

ła nierasowej, ale sympatycznej. Pod góralskim kapeluszem sprytnie oczy. Ten kapelusz z kostkami i resztki gwarowej wymowy — to jedyne oznaki »gazdy«, potomka dawnego góralskiego rodu. Bo reszta odzieży! Spodnie turystyczne, kurtka żołnierskiego kroju, buty narciarskie...

Gość okazuje się wcale przyjemnym rozmówcą. Kraj świata w czasie wojny widział, gazety czyta. Dzieli się ze mną wspomnieniami, a na

wzmiankę o urodzajnej ukraińskiej ziemi aż oczy mu błyszczą; wiadomo: zazdrość góralska względem takich, którym »ziemia sama rodzi«.

Jasna rzecz, że nie przyszedł po to, aby mnie bawić swoimi przeżyciami. Ale od razu widać, że człek grzeczny i swoistą etykietę zachowuje. Nie wypada przerwać i wprost zapytać, o co idzie. Trzeba mówić o tym i o tym, niby żadnej sprawy nie wietrząc — aż wreszcie etykietałny gość po długim kołowaniu sam zacznie o »interesie«, który go tutaj sprowadził.

Wyłazi wreszcie właściwy powód odwiedzin. Sprzedaż kilku przedmiotów. Prosta rzecz, a tyle czasu zeszło na przedwstępne grzeczności! Ale wara lekceważyć staroświecki *savoir vivre* i z tym góralskim wersalczykiem postąpić, jak z pierwszym lepszym »barabą«.

Gość buduje chałupę, trzeba mu pieniędzy. Jest tam w domu po ojcach i pas starodawny i pisolec i rożek myśliwski na proch. Czy to się nada »muzeumowi«?

Transakcja doszła do skutku.

Po kilku dniach przychodzi mój X. Ot, tak sobie — na pogawędkę, bez żadnego interesu. Znowu papierosy, ceny siana, zboża, koszt chałupy, rodzinne koneksje itd. A od niechcienia powiada gość, że wie o staroświeckich i »prawdziwych« przedmiotach; np. podobno u Tatarów jest jeszcze ten ciekawy stół, co go robił Ciulacz, ten, który ożenił się z Maryną, — a u swaka w Witowie wisi serdak, co go już nika nigdzie nie szyją, bo niemodny.

Potem była wizyta z wiadomościami, co można kupić w Ratułowie, w Dzianiszu.

Z tym wszystkim odwiedzin zaczyna być za wiele: dla jednej wiadomości — godzina gadania.

A na propozycję pośredniczenia w zakupie i małego zarobku za fatygę, Zakopianin całkiem się nie kwapi ni do Ratułowa, ni do Dzianisza. »Ja wam ino mówię, ale sami se kupcie, bo ja czasu nie mam«.

Taka bezinteresowność!? Czyżby już miał dość pieniędzy na tę chałupę? Napewno coś ważnego tai. A jest za sprytny, aby nie miarkował, że i ja oczekuję od niego właściwej sprawy.

Nareszcie!

Chyba piąta z rzędu wizyta!

— Hej, panie derektór, ja wiem o takiej rzeczy, co jej na całym świecie drugiej takiej nima i w w muzeumie nimocie”!

Widać idzie o coś, co Zakopianin postanowił

drogo sprzedać. Zamiast pośredniczyć, woli sam za jednym zamachem dobrze zarobić. A długie przygotowania miały oswoić mnie ze słoną ceną.

— E, czyżby muzeum rzeczywiście nie miało?
— Ja wam mówię, nima! A może mieć!

Następnym razem przyjmuję gościa w tutejszy sposób. Nie pytam o nic, niby zapomniałem o unikacie. To znak, że będę się ostro targować.

Góral wyrusza pierwszy. Jeszcze raz zapewnienie, że to bezcenny okaz. Będzie kosztować — prawda, ale się opłaci szukiwanie.

— Jak to szukiwanie?

— Bo trzeba dopiero szukać za tym.

— To szukajcie. Jak znajdziecie, pogadamy.

— Ja wam powiem, panie derektór, boście człowiek sprawiedliwy i nie wy zdradzicie. Jest w ziemi zakopany pomnik Janosika, zbójckiego hetmana, ze szczyrego złota, co go po śmierci Janosika kozeli odłoc jego towarzysia. Tego na całym świecie nie znajdziecie, choćbyście nie wiem jak szukali, bo drugiego takiego nima.

Oczekiwałem wszystkiego — ale przenigdy szczyroziłotego pomnika, fundowanego przez osieroconych zbójników!

— Przecie na mój dusiu przysięgnę!

Może oszust, a może wierzy w ten posąg. Wypada udawać, że i ja wierzę.

Owszem, gdyby się znalazł, kupimy. Ale jeżeli X. myślał o zaliczce, to się zawiódł. Tylko z ręki do ręki! Pomnik musi być tu, w kancelarii.

Zaliczki gość nie chciał, skądżeby!.. Ale z pieniędzmi teraz nie łatwo... a przecie na kopanie w ziemi trzeba robotników, darmo nie będą robić, a gdyby tak muzeum przystąpiło do spółki, albo niech muzeum zapłaci robotników, a już potem on to odliczy przy kupnie. I kilka motyk i łopat przydałoby się, taczki też... Muzeum może wziąć w sklepie na rachunek, to też się zwróci przy obliczeniu...

Teraz ja rozżaliłem się na kryzysową nutę nad dolą »muzeum«. Gotówki nic. Ciężkie czasy. A na kredyt sklep nie da. Bardzo niedobrze... Może kto inny zaryzykuje coś grosza na początek...

Narzekalem nie gorzej od mojego gościa. Zakopianin nie był kontent. Spodziewał się innego przyjęcia oferty.

— Nie macie, panie, takich żelaznych sztab na kilka metrów długich? Coby w ziemię śturkać, czy się na opór nie trafi.

— Nie, nie mamy.

— Słuchajcie, panie derektór, sprawiedliwie wam powiem. Przyjdźcie ku mnie w niedzielę, pójdziemy szukać. Nie będzie wiele kosztować, nie bójcie się. Opłaci się, ja wam mówię!

— A gdzie będziemy szukać?

Góral objaśnia jakby z wahaniem: W Chochołowskiej Dolinie.

— Czy wam piątej krokiewki chybja? Całą dolinę kopać? Na ślepo?

— A poślibyście sami, czy ino dalibyście robotników?

— Możeby sam poszedł.

Góral rozpromieniał.

— To se pamiętajcie, przyjdźcie w niedzielę do mojej chałupy. Ponkt dziesiąta zaczniemy.

— Jakże to? Mam być u was, tu, w Zakopanem o dziesiątej, a o tej samej godzinie mamy kopać w Chochołowskiej?

— Bo ja wam o Chochołowskiej tylko tak powiedział. Ale w rzeczy to jest na gruncisku w Zakopanem.

Oczywiście nie poszedłem. Gdy X. następnym razem przyszedł, ani słowem nie wspomniał, że niecierpliwie czekał. Chciał tylko zapytać, jak górnicy szukają kruszców pod ziemią, skąd wiedzą, że pod glebą jest metal.

Co wiedziałem, powiedziałem. Nie był zadowolony.

— A nie macie takiego magnesu, co jak go na ziemię położy, to się ruszy, jeżeli pod ziemią jest metal?

— Nie, takiego magnesu nie mamy, a chyba nikt nie ma.

— To wy, panie, nie wiecie. Zapytajcie takich, co robią w kopalni. Może tu jest taki, co wie o kopalniach?

— Jest.

— To go zapytajcie.

Był właśnie w Zakopanem prof. Walery Goetel z Akademii Górniczej. Powiedziałem mu o tym czarodziejskim magnecie. Uśmieśliśmy się obaj. Dowiedziałem się mniej więcej, jak odbywają się naukowe poszukiwania za kruszcami.

— Pytaliście się, panie?

Powtórzyłem upartemu góralowi profesorski wykład. »Ten pan, co górników uczy, powiada, że takiego magnesu nie ma«.

— To ten pan też nic nie wie — powiedział spokojnie X. — Taki magnes musi być, bo jakżeby odkrywali metale?

Miałem już dosyć tej historii. A i Zakopianin przestał mnie zanudzać. Nie zjawiał się dobre dwa miesiące.

Przypadek tymczasem sprawił, że dowiedziałem się o właściwych powodach jego zabiegów. Już wiem, jaki to grunt, na którym są kopczyki graniczne i stary jawor naprzeciw granicznych znaków, wiem, że istnieje legenda o zakopanym tutaj skarbie po zbójnikach. Nie o pomnik Janosika idzie, tylko o rzekomy kotlik z dukatami.

Po długim czasie wizyta. Ostatnia.

— Przyjdziecie panie?

— Po ten pomnik? Chyba ze sądem o cygaństwo.

— Jako mówicie?

— Posłuchajcie, panie X., bo ja już też coś wiem. Wy to wiecie ze starych ludzi, że na waszym gruncie zakopali zbójnicy kotlik z dukatami. U trzech kopców, gdzie jest jawór, gdzie cień pada z niego rano, trzeba go szukać. A wy cyganie, że tam zakopali złoty pomnik Janosika. A ten skarb w kotliku, to wy też wiecie, podobno jest przysięgany przez tych, co go na waszym gruncie schowali, i takie na nim przysięgane prawo, że kto dukaty pierwszy znajdzie, ten od razu umrze, a innym nie będzie nic. To wy się boicie, żebyście przy kopaniu nie zmarli, i mnie rzekomo do spółki pozywacie, żeby mi diabeł z miejsca kark skręcił. A wy dukaty zabierzecie! I jeszcze się przysięgacie i całe cygaństwo chcecie za nasze pieniądze robić. Ale z tego nie będzie nic!

X. nie widzi mnie odtąd na ulicy. Obraził się. Janosika pomnik chciał prawie darmo dać, a tu go cyganem zrobili i oszukaństwo wymawiają!

*

O ile pomysł szczerzłotego posągu był wyjątkowy, o tyle wcale nie była wyjątkiem propozycja spółki, mającej na celu poszukiwanie zakopanych czy zaklętych skarbów na Podhalu. W ciągu kilku lat parę razy zgłaszali się do mnie różni górale z podobnymi ofertami. Także pp. Zwolińskim w Zakopanem, znanym odkrywcom tatrzańskich grot, uważanym powszechnie przez górali za poszukiwaczy skarbów w górach, proponowano kilkakrotnie wspólne poszukiwania legendarnych kosztowności.

JULIUSZ ZBOROWSKI

Goetel Walery: »ZAGADNIENIA REGIONALIZMU GÓRSKIEGO W POLSCE«. Kraków. 1936. Odb. z XIV rocznika »Wierchów«, str. 40.

Wydawnictwo Związku Ziem Górskich.

Organizowane ostatnio corocznie »święta gór« dały prof. W. Goetlowi asumpt do rozważań na temat tzw. regionalizmu górskiego w Polsce. Wychodząc z założeń regionalizmu, jako prądu, mającego na celu zachowanie rodzimej kultury poszczególnych »regionów«, prof. Goetel zastanawia się nad łącznością kulturalną całego obszaru karpackiego, umotywowaną w wysokim stopniu tak jego wspólnymi warunkami geograficzno-przyrodniczymi (ukształtowanie fizyczne kraju, jego fauna i flora), jak i gospodarczymi (rejon owsiano-ziemniaczany, gospodarka rolno-pasterska, praca w lesie). Wspólne są też w dużej mierze pewne ogólne cechy kulturalne tego obszaru (pewne cechy budownictwa, zdobnictwa), uwarunkowane oddziaływaniem wspólnych wpływów (wołoskich, ruskich, węgierskich). Biorąc pod uwagę względy fizjograficzno-turystyczne, dzieli prof. Goetel polski obszar karpacki na Karpaty Zachodnie i Karpaty Wschodnie; wychodząc natomiast z założeń kulturalnych, proponuje inny podział tego terytorium, na regiony: śląski, żywiecki, myślenicko-limanowski, orawski, tatrzański, spiski, pieniński, nowosądecki, lemkowski, bojkowski i huculski. Podział ten daje pewne dysproporcje w rozmiarach poszczególnych regionów; uwzględniając jednak ich właściwości i odrębności i ściśle je rozgraniczając, pragnie jednak wprowadzić pewien porządek w istniejący dotychczas na tym terenie chaos pojęć.

Podobne warunki geograficzno-gospodarcze całego polskiego obszaru karpackiego pociągnąć za sobą musiały i wspólne dla całego tego obszaru potrzeby, uwidocznione podobieństwem celów i zadań działających w terenie górskim organizacji społecznych i instytucji. Koordynację ich działań postawił sobie na celu Związek Ziem Górskich. Prof. Goetel stawia przed Związkiem dwa naczelnne zadania: jedno w zakresie pośredniego oddziaływania i drugie, wiążące się z bezpośrednią jego działalnością. Do zakresu oddziaływania należy harmonizowanie prac społecznych, starania o zrationalizowanie gospodarki (proces przemiany gospodarki owsianej na łąkowo-halną), uprzemysłowienie obszarów górskich, uzgadnianie gospodarki turystycznej i letniskowo-wypoczynkowej (rozplanowanie letnisk, obozów itd.), popieranie przemysłu ludowego. Do sfery bezpośredniej działalności Związku należeć winna przede wszystkim praca ściśle regionalistyczna, kulturalna, pielęgnowanie form, tańców, strojów ludowych, organizowanie odpowiednich imprez, konkursów itd. Ta praca regionalistyczna pozostawać musi w łączności z planową polityką muzealną, mającą na celu takie powiązanie każdego z muzeów z terenem, jak to się dzieje np. w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem. O regionalizmie górskim pisano dotychczas dość dużo i rozmaicie; rozprawa prof. Goetla nie wyczerpuje jeszcze

całego zagadnienia, syntetyzując wszakże dotychczasowy dorobek teoretyczny, naukowy, w tej dziedzinie i dając pewne wskazówki praktyczne, programowe, stanowić może podstawę do dalszych rozważań.

JAN REYCHMAN

Józef Pieniążek: »PODHALE W OBRAZACH«. Album barwny. Tekst: dra Tadeusza Szydlowskiego: »Przyszłość artystyczna Podhala«, dra Tadeusza Seweryna »o strojach górali polskich« i Jana Wiktora »Na odkrywczej drodze«. Streszczenie w jęz. angielskim, francuskim i niemieckim. Seria I: Družba i druha z Jurgowa. Grajkowie góralscy z Witowa. Spiszaczki z Frydmana. Wnętrze kościoła w Przydonicy w Sądecyźnie z r. 1524. Kościół w Lubniu. Jaselka góralskie z Orawki. Zamki nad Dunajcem: Niedzica i Czorsztyn. Dąb na skale kościelnej w Tropiu nad Dunajcem. — Seria II: Góral od Żywca. Foluśnik z Kamienicy. Przyszowianie z wieńcem dożynkowym. Wnętrze starożytnego kościółka w Dębnie z polichromią z XVI w. Ołtarz dwustronny w kościele we Frydmanie. Czarna izba w dworku w Zubrzycy pod Babią Górą. Kościół w Dębnie. Ruiny Czorsztyna. — Seria III: Rodzina mieszczańska z Żywca. Stary gazda z Rzepisk. Orawianie z Jabłonki. Wnętrze opuszczonego kościółka w Trybszu na Spiszu. Chrystus na krzyżu z Grybowa. Wieża starego kościoła w Rabce. Figura św. Anny w Podwilku na Orawie. Widok na klasztor Klarysek w Starym Sączu. — Wydawnictwo »Podhale w obrazach«, ul. Piaskowa 27, Lwów. 1937.

Wiele lat upłynęło od czasu, gdy córka Henryka Sienkiewicza, Jadwiga, posłała »dyktatorowi piękna«, John. Ruskinowi, kilkadziesiąt fotografii łyżników podhalańskich, dostarczając mu tym sposobem materiału do entuzjastycznego artykułu o polskich źródłach stylu. Wstyd więc było nie wierzyć Witkiewiczowi i Matlakowskiemu, gdy sam Ruskin im sekundował. Obecnie znów świetny uczynek angielski, John Russel, zwiedziwszy Polskę, poświęcił wiele wnikliwych uwag polskiej sztuce ludowej, widząc w niej pierwiastki »bardziej niezależne od wpływów zewnętrznych, niż w kulturze warstw oświeconych. Nie ma w niej wyraźnych wpływów ani Bizancjum, ani Włoch, Francji czy Niemiec, a mimo to jest niezmiernie ciekawa i pociągająca«.

Zbyt małe czyni się u nas wysiłki w kierunku należytego wyzyskania propagandowych wartości naszej kultury ludowej. Nawet, gdy chodzi o Podhale, ziemię Tetmajera, Skoczylasa i Szymanowskiego, ziemię, wydeptaną butami

milionowych rzesz turystów, jakżeż często odkrywa tu oko artysty zapomniane, omszone kościoły drewniane, wiekiem zgarbione kapliczki przydrożne, świątki prymitywem czarujące, piękny lud w dorodnym stroju starodawnym i inne cuda, które często przemawiają do ogółu, jak obrazy zatopionej Atlantydy.

Na takich to poszukiwaniach ginącego piękna na Podhalu, Orawie, Spiszu, Żywiecczyźnie, Sądeckczyźnie i »Ziemii Orkanowej« powstało efektowne album »Podhale w obrazach« Józefa Pieniżka. Pierwszy zeszyt tego wydawnictwa składa się z 8 barwnych plansz światłodrukowych, przedstawiających różne osobliwości tych ziem górskich, a więc: zabytkowy dąb sędziwy na skale Kościelnej w Tropiu, potężnymi konarami wrosły w opokę, zamki Niedzicy i Czorsztyna jeżące się na szczycie gór u przełomu Dunajca, jasełka z Orawki z końca w. XVIII, niezmiernie interesujące choćby tym szczegółem, że w gronie pasterzy-juhasów, którzy przyszli do szopki pokłonić się Panu, znajduje się jakiś harnaś w zbójnickiej czapce na głowie, w cyfrowanych portkach, a z ciupazecką w ręku. Jest dalej kościół drewniany w Lubniu z majestatyczną wieżą i kształtną sygnaturką, wnętrze kościoła w Przydonicy w Sądeckczyźnie, roztaczające przed zdumionymi oczami widza olbrzymie bogactwo polichromii, spatynowane cuda »rezerwatu średniowiecza«. Kraśniej barwą Spiszaczki z Frydmana, modlące się przed kościołem, družba z Jurgowa, strojny w szeroki pas bacowski i bujny, biały pióropusz u kapelusza, druha w ognistej spódnicy i kabatku, obsypana barwnymi wstążkami, a wreszcie reprezentacyjne typy grajków z Witowa.

Tekę »Podhale w obrazach« Józefa Pieniżka uzupełnia tekst, na który składa się artykuł prof. dra Tad. Szydłowskiego o ruinach zamków, kościołach z czasów gotyku, dworach murowanych i drewnianych, kościółkach i kaplicach, artykuł dra T. Seweryna o dorodnych strojach górali od Żywca i Zawoi, od Wisły, Istebny i Cieszczyzna, górali nowotarskich, pienińskich, orawskich, spiskich, sądeckich i z »Orkanowej Ziemi«, wreszcie Jan Wiktor kreśli barwnie »odkrywcą drogą« Józefa Pieniżka, który, zachęcany przez mistrza Wyczółkowskiego, z benedyktyńską wytrwałością i dokumentarną wiernością od wielu lat notuje cuda gór polskich, odchodzące w przeszłość.

»Tylko szalenie — pisze Jan Wiktor — mógł dobrowolnie podjąć się tej pracy bez niczyjej pomocy i poparcia, tylko cudak mógł wkradać się na strychy, do komór, aby przerzucać sterty gratów, rupieci, narażając się na wyzwiska i pośmiewisko«. Dalszym ciągiem tego szaleństwa było rozpoczęcie tak luksusowego, a jednocześnie taniego wydawnictwa, które wśród swoich i obcych ma głosić chwałę gór polskich. W artystyczną szatę obleczonego czyn krajoznawczy Józefa Pieniżka tym życzliwiej przyjęty być winien przez ogół, że jest to ofiarny wysiłek jednostki, wspomagany jedynie garścią... subskrybentów¹.

TADEUSZ SEWERYN

¹ O swych wędrowkach artystycznych pisał p. Józef Pieniżek w nrze 8—10 »Ziemi« z 15.IV, 1 i 15.V.1931 w art. pt. »Sztuka i zabytki naszej Orawy«; w nrze tym zamieszczone zostało szereg reprodukcji akwarel p. Józefa Pieniżka. (P. Red.).

Jan Reyman: »PRZEWODNIK PO PODHALU, SPISZU, ORAWIE I PÓŁNOCNEJ SŁOWACJI«. Warszawa 1937. Główna Księgarnia Wojskowa. Str. XVI + 258 i 4 mapki orientacyjne.

Pomimo daleko idącego zróżnicowania polskiej turystyki górskiej — gromadnej turystyki w Beskidach Zachodnich i coraz żywszego rozwoju turystyki w Beskidach Wschodnich — centrem turystyki górskiej w Polsce pozostaje wciąż Zakopane i pozostać nim musi z racji nie tylko swego centralnego (tak!) położenia w stosunku do zasięgu turystyki polskiej w Karpatach, ale i stopnia zagospodarowania turystycznego, turystycznych tradycji itp. Dlatego, gdy na podstawowe dzieło przewodnikowe o Beskidach Zachodnich musieliśmy czekać do roku 1914, a w Beskidach Wschodnich nawet do lat ostatnich — bogata przewodnikowa literatura tatrzańska sięga lat 70-tych ub. stulecia, przy czym każde dziesięciolecie dorzuca tu nowe materiały i nowe opracowania.

Długi czas jedynym celem tej turystyki rejonu zakopiańskiego były Tatry, połączone co najwyżej z krótkimi wypadami do Pienin i na Orawę. Tatry, Szczawnica i Zamki Orawskie, to był też zasięg Przewodnika Walerego Eliasza, praktyczny dla ówczesnych turystów.

Po wojnie sytuacja się jednak zmieniła. Poprzez poznanie Tatr, turyści polscy ruszyli szeroko na Podhale (zainteresowania etnograficzne), sięgnęli również do tak urozmaiconych i w bogatą treść turystyczną wyposażonych obszarów północnej Słowacji, jak Spisz, Liptów i kraje sąsiadujące. Wyrazem tego żywego zainteresowania stał się pierwszy polski Przewodnik po Spiszu, Orawie i Czadeckiem, niemal bezpośrednio po wojnie wydany przez krajoznawcę tej miary, co M. Orłowicz.

Ale przewodnik Orłowicza opierał się wyłącznie na materiale przedwojennym, rychło więc, choć zachował wartość celowego i przystępnego kompendium artystycznych zabytków opisywanego terenu, stracił wszelkie znaczenie jako praktyczny przewodnik turystyczny. A turystyka polska dookoła Tatr rozwijała się z roku na rok, objęła nawet tak zaniedbane dawniej tereny, jak Pasma Gubałtowskie, czy Magóry: Spiską i Orawską.

Z radością należy więc powitać i zapełnienie bardzo poważnej luki w naszym piśmiennictwie turystycznym widzieć w świeżo wydanym Przewodniku Reymana. Praca to pierwszorzędna, napisana przez fachowca, znawcę folkloru, a zarazem wrażliwego na piękno turystę. Obejmuje obszar ogromny, dla turystyki polskiej nader ważny, a opracowany niemal bez zarzutu.

Pięć krain górskich obejmuje Przewodnik Reymana (Podhale, Spisz, Liptów, Turczańskie i Trenczyńskie, Orawę), nieskrępowany zbytnio, i słusznie, granicami pasa turystycznego, sięgając po Żywiec i Krynicę na północy, a po Wielką Tatrę i Ziemię Górników na południu, w jednym wypadku aż ku granicy węgierskiej (chodzi o Dornicę, do której wycieczki z Polski stały się zresztą w ostatnich latach wcale częste). Więcej mówi zatem o terenach poza państwem polskim leżących, niż o polskich obszarach. Ale nie zapominajmy, że te obszary,

które opisuje, prześliczne krajobrazowo i frapujące etnograficznie, są zarazem pełne pamiątek polskich i polskiego oddziaływania kulturalnego (autor bardzo umiejętnie wpływ ten w swoim Przewodniku uwydatnia).

Układ książki Reychmana jest bardzo przejrzysty, opisy grupują się wzdłuż głównych szlaków kolei i dróg bitych. Wydaje się to najlepszą metodą. Opisy są zwięzłe, krótkie; ta ich cecha oraz pozorna suchość są właśnie ogromnymi zaletami Przewodnika i sprawiają, że jest to jeden z najbardziej nowoczesnie ujętych przewodników polskich, wśród których zbyt długo doprawdy panowała staroświecka moda uzupełniania opisów zachwytemi od autora, cytatami wierszy itp. balastem, cennym skądinąd, lecz nie na miejscu w przewodnikach, mających praktyczne zadania i znaczenie. Reychman usprawiedliwia się z pominięcia w swej pracy szczegółowego opisu dróg, kładzie to na karb »szczupłego rozmiaru i dużego zasięgu przewodnika«; ale opuszczanie przelicznych szczegółów drogi znakowanej i wiodącej przecież w terenie przystępnym, nie skalnym, jest pod każdym względem wskazane i pedagogiczne — usprawiedliwiania się są przeto zbędne.

Obszar, objęty Przewodnikiem Reychmana, jest tak rozległy, że niesposób było sprawdzić wszystkich informacji osobiście i równie encyklopedycznie wszystko poznać samemu. Stąd wzięły się czasem wiadomości niedość ściśle, omal błędne (np. o Słowackim Raju). Giną one jednak w ogólnym materiale przewodnika, zasługującym całkowicie na zaufanie.

Opisując poszczególne grupy górskie lub zabytki danego miasta, stara się autor uwydatnić należycie obiekty najciekawsze. Umie też z dostateczną siłą wyrazu podkreślić przodujące znaczenie turystyczne takich celów, jak Pienniny, Demenowskie Jaskinie, Hale Orawsko-Liptowskie. Ale czasem wydaje się, że jeszcze za mało wyróżnia np. stary kościół ewangelicki na tle innych zabytków Kiezmorku lub wąwóz Kisiel wśród innych osobliwości Słowackiego Raju.

Z usterek chcę wymienić jeszcze zbyt śpieszną korektę, prowadzącą w pewnych miejscach do potknięć stylistycznych. Łatwo da się to naprawić w następnych wydaniach, których gorąco życzymy Przewodnikowi Reychmana i na które on ze wszech miar zasługuje.

J. A. SZCZEPAŃSKI

»EVENTS AND PERSONALITIES IN POLISH HISTORY«. Napisał Paul Super, Dyrektor Generalny Polskiej Y. M. C. A. Toruń. 1936.

Polska posiada jakąś siłę przyciągającą, której ulegają cudzoziemcy, zwłaszcza jednostki ideowe, umiające odczuć sentyment naszego krajobrazu i rozlewność psychiki narodu polskiego. Jednostki takie łatwo stają się naszymi przyjaciółmi i oddają poważne usługi sprawom polskim.

Do takich sympatyzujących i szczerze oddanych nam przyjaciół zaliczony być musi pan Paul Super, Dyrektor Generalny Polskiej Y. M. C. A., nie tylko bowiem zorganizował on u nas tę wysoce pożyteczną instytucję, lecz

także w serii The Baltic Pocket Library opracował książkę, poświęconą Polsce, książkę informującą cudzoziemców o zdarzeniach i wybitnych osobistościach naszych dziejów.

Książka nosi tytuł: »Events and Personalities in Polish History«, wydana jest w 1936 r. w Toruniu w szeregu prac, kierowanego przez dra Józefa Borowika, Instytutu Bałtyckiego.

Praca p. Supera, dedykowana jego małżonce, Pani Margaret L. Super, obejmuje 116 str. druku, 34 ilustracje i mapę, a dzieli się na 5 rozdziałów, opisujących dzieje Polski od Mieszka I do Marszałka Józefa Piłsudskiego. Te tysiącletnie dzieje dają dużo ciekawego dla cudzoziemców materiału o przyjęciu u nas chrześcijaństwa, Krzyżakach, najazdach tatarskich, unii z Litwą, przy czym autor przytacza akt unii Horodelskiej i zapytuje: czy gdziekolwiek i kiedykolwiek zawarto dobrowolnie tej doniosłości traktat?

Rozdział 2 opisuje złoty wiek potęgi Polski pod berłem ostatnich Jagiellonów, a rozdział 3 — wojny kozackie i szwedzkie, czasy saskie, upadek i rozbiory. Nie brak tu jednak wiadomości o Konfederacji Barskiej, Sejmie Czteroletnim, Komisji Edukacyjnej i innych jasnych promieniach na zachmurzonym niebie Rzeczypospolitej. W rozdziale 4 opisane są dzieje porozbiorowe, powstania listopadowe i styczniowe, przy czym gorące słowa uznania składa autor młodzieży polskiej i jej wysoce patriotycznemu duchowi.

Wreszcie rozdział 5 to opis wojny światowej, Legionów, a gorące i pełne uznania słowa poświęca autor Marszałkowi Piłsudskiemu, nazywając Go »Creator of modern Poland«.

Zakończenie (Conclusion) przepełnione jest, jak cała zresztą praca, szczerą sympatią i uznaniem dla polskiej psychiki, jej demokratycznego ducha, patriotyzmu, umiłowania wolności, a kończy się uwagą o konieczności dostępu do morza dla rozkwitu i potęgi naszego Państwa. Dobrze dobrane fotografie ilustrują tekst, który wielu cudzoziemcom wyjaśni nasze dzieje, tak często przedstawiane niezgodnie z prawdą przez autorów obcych, a stronnych. Panu Superowi szczerza należy się podzięką za bezstronne ujęcie tematu i jaśniejącą w każdej nieomal stroniczności życzliwość.

AL. JANOWSKI

MUZEUM TATRZAŃSKIE IM. DRA TYTUSA CHAŁUBIŃSKIEGO W ZAKOPANEM podjęło przed paru laty wysoce wartościowe wydawnictwo popularno-naukowe w serii: »Z TATR I PODHAŁA«. Dotychczas ukazały się:

Nr 1. MARIAN SOKOŁOWSKI: »Szata roślinna Tatr Polskich«. Przewodnik geograficzno-roślinny. (70 rycin i mapy).

Nr 2. STANISŁAW SOKOŁOWSKI: »Las Tatrzański«. Z 18 rycinami i 3 mapami.

Niebawem ukaże się nowa publikacja Muzeum:

JAN i STEFAN REYCHMANOWIE: »Przemysł wiejski na Podhalu. Falusz, młyn, tartak, olejarnia, gonicznia i browar«.

BIBLIOGRAFIA KRAJOZNAWSTWA POLSKIEGO

(Według »Urzędowego Wykazu Druków wydanych w Rzeczypospolitej Polskiej«. Druki zarejestrowane w Bibliotece Narodowej od 2 do 29 maja 1937 r. Nr 18 — 21).

PRZYRODA POLSKI.

Geografia.

BUCZEK KAROL. Ślązacy w kartografii polskiej XVI wieku. Z 2 mapami. Katowice 1937. Sgł. »Nasza Księgarnia«. Warszawa, s. 42, mapy 2.

SŁOWNIK geograficzny Państwa Polskiego i ziem historycznie z Polską związanych. Pod red. dra Stanisława Arnolda, prof. Uniw. Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Pomorze Polskie, Pomorze Zachodnie, Prusy Wschodnie. T. I, zesz. 3.

ZAJĄCZKOWSKI MACIEJ. Dolina Sucha Kondracka w Tatrach Zachodnich. [Kraków 1936], s. od 84—88. Nadb.: Ochr. Przyrody. R. 16: 1936.

Hydrografia.

CHMIELEWSKI KAZIMIERZ. Hydrografia Pomorza i Prus Wschodnich. Warszawa 1937, szp. od 83—128. Odb.: Słownik geograficzny Państwa Polskiego. T. I.

Klimatologia.

GALON RAJMUND. Klimat Pomorza i Prus Wschodnich. Warszawa 1937, s. 1 nlb., szp. od 41—84. Odb.: Słownik geograficzny Państwa Polskiego. T. I.

Fauna.

SZULCZEWSKI J[ERZY] W[OJCIECH]. Fauna Pomorza i Prus Wschodnich. Warszawa 1937, szp. od 149—162. Odb.: Słownik geograf. Państwa Polsk. T. I.

Flora.

KRAWIEC FELIKS. Szata roślinna wyżyny Stanisławskiej na Kaszubszczyźnie. [Kraków 1937], s. od 102—113. Nadb.: Ochrona Przyrody. R. 16: 1936.

MUSZYŃSKI JAN [KAZIMIERZ], prof. Ludowe zioła lecznicze na Śląsku Cieszyńskim. Warszawa 1937. Nakł. Pols. Komitet Zielarski, s. 9, 1 nlb.

WODZICZKO ADAM. Roślinność Pomorza i Prus Wschodnich. Warszawa 1937, s. 2 nlb., szp. od 123—148. Odb.: Słownik geograf. Państwa Polsk. T. I.

Ochrona przyrody.

MŁODZIEJOWSKI JERZY. »Smreczyny« w Dolinie Kościeliskiej. [Kraków 1936], s. od 88—95. Nadb.: Ochrona Przyrody. R. 16: 1936.

SOKOŁOWSKI JAN [BOGUMIŁ]. Zagrożone lasy w Czeszewie. [Kraków 1937], s. od 113—123. Nadb.: Ochrona Przyrody. R. 16: 1936.

ŚRODOŃ ANDRZEJ. Rozmieszczenie limby w polskich Karpatach i jej ochrona. [Kraków 1937], s. od 22—42. Nadb.: Ochrona Przyrody. R. 16: 1936.

SULMA TADEUSZ. Kornuty — rezerwat na Łemkowszczyźnie. Wyspowa stanowisko kosodrzewiny (Pinus

Mughus Scop.) w Beskidach Niskich. Kraków 1936, s. od 57—73. Nadb.: Ochrona Przyrody. R. 16: [1936].

SZAFER WŁADYSŁAW [prof.]. Rezerваты leśne w Szutromińcach na Podolu. [Kraków 1937], s. od 10—22. Nadb.: Ochrona Przyrody. R. 16: 1936.

SZAFER WŁADYSŁAW. Rzut oka na stan obecny ochrony przyrody w Polsce na tle 17-letniej działalności Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Kraków 1937. Nakł. Państw. Rada Ochrony Przyrody, s. 22, tabl. 2.

WALAS JAN. Roślinność skalic nowotarskich i konieczność ich ochrony. [Kraków 1937], s. od 43—56. Nadb.: Ochrona Przyrody. R. 16: 1936.

WIERDAK SZYMON. Wystawa »Nasze Lasy i Ochrona Przyrody«. [Kraków 1936], s. 272—277. Nadb.: Ochrona Przyrody. R. 16: 1936.

WODZICZKO ADAM [dr]. Ochrona przyrody wczoraj, dziś i jutro. [Kraków 1937], s. 9. Nadb.: Ochrona Przyrody. R. 16: 1936.

WRÓBLEWSKI ANTONI. Konserwacja starych drzew. [Kraków 1937], s. od 158—168. Nadb.: Ochr. Przyrody. R. 16: 1936.

KULTURA POLSKI.

Antropologia.

MYDLARSKI JAN. Antropologia Pomorza i Prus Wschodnich. Warszawa 1937, szp. od 163—178. Odb.: Słownik geograficzny Państwa Polskiego. T. I.

STOJANOWSKI KAROL. Z badań nad antropologią Śląska. Skład rasowy katowickiej młodzieży poborowej. Katowice 1937. Sgł. »Nasza Księgarnia«. Warszawa, s. 28, 2 nlb.

Demografia, socjografia i statystyka.

RUDNICKI JANUSZ. Zagadnienia gospodarcze i kulturalne wsi górskiej. Warszawa 1937. Wyd. Zw. Ziem Górskich, s. 22, 1 nlb., tabl. 3.

RUSIŃSKI WŁADYSŁAW. Uwarstwienie ludności wiejskiej w królewskich Prus Królewskich w drugiej połowie XVII w. Lwów 1937. Sgł. Kasa im. J. Mianowskiego — Instytut Popierania Polskiej Twórczości Naukowej. Warszawa, s. 28. Odb.: Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych. 1937. T. VI.

SPIS. Drugi powszechny spis ludności z dn. 9.XII.1931 r. Mieszkanie i gospodarstwo domowe. Ludność. Stosunki zawodowe. Województwo wileńskie bez miasta Wilna. Warszawa 1936. Nakł. (i sgł.) Główny Urząd Statystyczny, s. XXX, 164.

Etnografia.

TURKOWSKI LUCJAN. Ubiór ludowy w Polsce. Przewodnik po wystawie z działu etnografii. Oprac. ... z ra-

mienia Zakł. Etnografii Polski U. J. P. [Uniw. Józefa Piłsudskiego]. Warszawa 1937, s. 28, 1 nlb.

Gospodarstwo narodowe.

BLANK-WEISSBERG STEFAN. Barcie i kłody w Polsce. Warszawa 1937. Z zasil. Min. Roln. i R. R., s. 93, 1 nlb.

CZEKANOWSKI JAN. Zagadnienia kolonialne a Polska. [Warszawa 1937], s. 13. [Odb.: Przegląd Współczesny. 1937. Nr 2].

DOMAŃSKI BOGDAN. Potrzeby inwestycyjne powiatu kostopolskiego w ciągu następnego czterolecia 1937—1941. Plan inwestycyjny, sporządzony pod przewodnictwem starosty pow., Kazimierza Sierakowskiego. Broszura w opracowaniu... sekretarza Rady Powiatowej. Kostopol 1937, s. 32.

KOZŁOWSKI ZYGMUNT JAN. Pierwszy »Jarmark Poleski« w Polsce odrodzonej. Brześć n/B. 1937, s. 47, 1 nlb.

NA DRODZE do dobrobytu Ziem Wschodnich. Warszawa [1937]. Zarząd Gł. Polskiej Macierzy Szkolnej, s. 14.

WERNER STEFAN. Przemysł rolny na Pomorzu. Rozprawa z pracy zbiorowej »Stosunki rolnicze na Pomorzu«. Gdynia 1937. Z zasil. Pomorskiej Izby Rolniczej. Sgł. Kasa im. J. Mianowskiego — Instytut Popierania Nauki. Warszawa, s. V, 112 (s. V, od 183—294). (Odb.: Pamiętnik Instytutu Bałtyckiego. Polskie Pomorze, t. III. Stosunki rolnicze na Pomorzu). — Wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego.

Historia polityczna.

KOWALCZYKÓWNA BOGUSŁAWA, mg. Odrodzenie narodowe Górnego Śląska od r. 1821 do r. 1903. Katowice 1937, t. 96.

Historia sztuki.

MAŃKOWSKI ALFONS, ks. Symbolika jelenich rogów w kościołach polskich. Pelplin 1937. Nakł. Kuria Biskupia, s. 11. (Odb.: Miesięcznik Diecezji Chełmińskiej. 1937. Nr 5—6).

Literatura.

ORLIK JACEK MARIA. Nad Polesiem cisza. Poezje. Janowa Dolina 1936, s. 32. (Kostopol).

OSIENIENKO SERAFIN. Wieś wileńska przebojem do kultury. Obrazek ludowy w 6-ciu odsłonach. Wilno 1937, s. 37.

WĄKOWICZ MELCHIOR. Na tropach Smętka. Wydanie 3. Warszawa (1936) 1937. Nakł. »Biblioteka Polska«, s. 372, tabl. 52, mapy 2.

Monografie regionalne, powiatów, miast i wsi. BORKOWSKA M., WYSOCKI ST., inż. Ilza. [Starachowice] 1937. Nakł. Polskie Tow. Krajoznawcze. Oddz. w Starachowicach, s. 45, 1 nlb.

KLEMBUKOWSKI BOLESŁAW. Mircze. Wieś powiatu hrubieszowskiego. Zarys stosunków ekonomicznych, kulturalnych i społecznych. Praca dyplomowa z dziedziny socjografii, wykonana na Państwowym Instytucie Nauczycielskim w Warszawie pod kier. prof. Uniw. Warszawskiego Stefana Czarnowskiego 1934 r. [Hrubieszów 1937]. Nakł. Hrubieszowski Powiatowy Zw. Samorządowy, s. 174, tabl. 10.

PAPROCKI FRANCISZEK (mgr). Piątek. Rzut oka na przeszłość miasta i jego stan obecny. [Piątek] 1937. Nakł. Bank Spółdzielczy w Piątku, s. 10, nlb, 108.

SUKERTOWA-BIEDRAWINA EMILIA. Działdowo w XVIII w. Działdowo 1937. Polskie Tow. Krajoznawcze. Oddz. w Działdowie, s. 96.

Ochrona zabytków.

MORELOWSKI MARIAN, prof. Co będzie z placem katedralnym, co ze starym Wilnem? Niebezpieczeństwa modernistycznej urbanistyki w głównych centrach wielkiej przeszłości. Wilno 1937, s. 8. (Odb.: Kurier Wileński. 1937. Nr 115).

Opisy Polski i podróże po kraju.

ZADROŻNY STANISŁAW. Na gdyńskim szlaku. (Warszawa 1937. Wyd. M. Arct. Rotograwiura Rotofot), s. 175, 3 nlb.

Osadnictwo.

GÓRZYŃSKI STEFAN. Klasztor w Polsce wieków średnich w świetle badań osadniczych. Warszawa 1937. Wyd. »Świat Współczesny«, s. 48.

Plastyka.

ZAREMBA BOLESŁAW, mgr. Teka toruńska. 16 fotografii wyk. i wyd. własnym nakładem. Toruń 1937. Odbito wkłesłodrukiem w Druk. »Biblioteka Polska«, Bydgoszcz, s. 2 nlb, tabl. 16.

KRAJOZNAWSTWO, REGIONALIZM I TURYSTYKA: WYDAWNICTWA INFORMACYJNE I POMOCNICZE. ZAGADNIENIA METODYCZNE I PROGRAMOWE.

Bibliografia.

BERZYŃSKI MAKŚ. Skorowidz rzeczowy »Spraw Narodowościowych«, czasopisma poświęconego badaniu spraw narodowościowych. Za okres 1932—1936 (roczniki 6—10). Warszawa 1937. Instytut Badań Spraw Narodowościowych, s. 15.

BOROWIK JÓZEF, dr. Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego. 1: Czasopismo angielskie. Warszawa [1937], s. 7. Odb.: Drogi Polski. 1937. Nr 4.

Czasopisma.

BIULETYN Turystyczny Polskiego Biura Podróży Orbis. Miesięcznik. Łódź. R. 1. Nr 1: maj 1937. [Red. i adm.:] Oddział w Łodzi, Piotrkowska 65.

OD A DO Z POLESIA. Dwutygodnik. Pińsk. R. 2. [Nr 1:] 1 lutego 1937. Red. i adm.: Wodociągowa 41. [Od Nr 2: 1937]. Wznowienie.

Opisy podróży i wypraw naukowych po krajach obcych.

BELL IZA. Moja podróż. Szlakiem Południa. Warszawa 1937. F. Hoesick, s. 45, 1 nlb., tabl. 4.

CIEĞLEWICZ W. Sprawozdanie z wyprawy statku badawczego »Ewa« na wody lotewskie i do Gotlandu w czerwcu 1936 r. [B. m. w. 1937], s. 5, 1 nlb. [Odb.:] Biuletyn Stacji Morskiej w Helu. 1937. Nr 1.

FRENKIEL ZYGMUNT. Paryż. 1: Reportaże orientacyjne. 2: 10 dni w Paryżu. Przewodnik po Paryżu i »Wy-

stawie 1937 r.». Przedmowę napisała Rose Bailly. Warszawa 1937. Wyd. J. Przeworski, s. 1 nlb., 371.

KOSIBA ALEKSANDER, dr. Grenlandia. Z 204 ryc. i mapą Grenlandii. Lwów (1937). [Nakl.] Książnica-Atlas, s. VII, 479, 1 nlb., mapa 1.

STAROWIEYSKA-MORSTINOWA ZOFIA. Kamień i woda. Wrażenia z Jugosławii. Poznań [1937]. Nacz. Inst. Akcji Katol., s. 116, 1 nlb., tabl. 7.

Przewodniki.

LIEPELT ZB., JAGIELSKI JULIAN. Przewodnik: Poznań. Tekst. Zb. Liepelt i Julian Jagielski. Tłumaczenia!! franc. H. Abakanowicz. Fot.: R. S. Ulatowski. Poznań [1937]. Wyd. Agencja Reklamy J. Jagielski, s. 96, plan 1.

TRZCIŃSKI TADEUSZ, ks. Przewodnik po pamiątkach Gniezna. Wyd. 2. Przygotował ks. Leon Formanowicz. Zdjęcia fotogr. R. S. Ulatowskiego. Poznań [1937]. (Nakl.) Księg. św. Wojciecha, s. VIII, 108, 2 nlb.

WIECZORKIEWICZ ANTONI. Dawna Warszawa. Pokaz ważniejszych materiałów ze zbiorów Muzeum Narodowego. Przewodnik po wystawie. Oprac. ...kustosz działu dawnej Warszawy. Warszawa, kwiecień—maj 1937, s. 16.

Turystyka.

BRENK STANISŁAW. Balonem »LOPP« nad Morze Białe. Warszawa 1937. Nakl. Zarząd Gł. Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgaz., s. 140, 1 nlb., mapy 2.

KOWALEWSKA ANNA, KOWALEWSKI TADEUSZ. Nasza eskapada po Pilicy. Reportaż z włóczęgi kajakowej: Koniecpol, Przedbórz, Sulejów, Tomaszów Maz., Spała, Inowłódz, N. Miasto, Przybyszew, Białobrzegi, Warka. Warszawa 1937. Sgl. Gebethner i Wolff, s. 106, 3 nlb.

Varia.

HORNICKI TEOFIL, inż. Letniska i uzdrowiska Pomorza. Informator letniskowo-krajoznawczy. Toruń 1937. Nakl. Toruńska Delegatura Ligi Popierania Turystyki, s. 92.

POLAK na obczyźnie. Wyd. 2. Warszawa 1937. Nakl. Światowy Zw. Polaków z Zagranicy, s. 16.

Zdrowojnictwo.

ORŁOWSKI ZENON, prof. dr]. Rabka. [Warszawa 1937], s. 7, 1 nlb. [Odb.: Prof. dr Zenon Orłowski: Naukowe podstawy zdrowojnictwa. Warszawa 1936].

KRONIKA ● KRAJOZNAWSTWO i TURYSTYKA

ŚP. JAN KRZYSZYCKA, inż. mechanik, kpt. rezerwy W. P., b. asystent Politechniki Lwowskiej, asystent Zakładów Starachowickich, członek Zarządu i skarbnik Oddziału P. T. K. w Starachowicach, zginął tragiczną śmiercią w dniu 10 czerwca 1937 r., przeżywszy lat 41.

W zmarłym tracimy nieodżałowanego koleżę i współpracownika.

Cześć Jego świetlanej pamięci!

Zarząd Starachowickiego Oddziału P.T.K.

P. WICEPREMIER INŻ. E. KWIATKOWSKI w związku z wydaniem nr 4—6 »Ziemie«, poświęconym Sandomierskiemu Centralnemu Okręgowi Przemysłowemu, przesłał pod adresem P. T. K. pismo następującej treści: »Warszawa, dn. 21 lipca 1937 r. Do Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w miejscu, Nowy Świat 19, m. 4.

Potwierdzam z podziękowaniem odbiór egzemplarza miesięcznika »Ziemia«, poświęconego projektowanemu Sandomierskiemu Okręgowi Centralnemu. Wydawnictwo to — tak aktualne i tak propagandowo potrzebne dla utrwalania i pogłębiania w szerokich sferach społeczeństwa polskiego tej myśli — zostało zrealizowane bardzo umiejętnie i graficznie bardzo pięknie, za co wyrażam WPanom uznanie i podziękowanie.

Minister (—) E. Kwiatkowski.

ZJAZD KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY P. T. K. W PINSKU. W dniach 4 i 5 czerwca odby-

wał się w Pińsku Zjazd Kół Krajoznawczych Młodzieży Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Na Zjazd przybyły liczne delegacje i wycieczki Kół z całej Polski. Trzysta osób, zgromadzonych na Zjeździe, reprezentowało 25 Kół z całej Polski. Zarząd Główny P.T.K. reprezentował prezes p. senator Z. Beczkowicz oraz sekretarz p. K. Staszewski. Nad całością prac Zjazdu czuwał przewodniczący Komisji Kół Krajoznawczych Młodzieży, prof. Leopold Węgrzynowicz z Krakowa.

Obrazy swoje Zjazd prowadził w sali miejscowego gimnazjum państwowego. W uroczystej inauguracji wzięli udział przedstawiciele miejscowych władz państwowych, szkolnych, samorządowych, duchowieństwo rz.-katolickie, prawosławne, przedstawiciele pińskich organizacji społecznych, Zarząd Oddziału P. T. K. w Pińsku, liczni goście oraz młodzież miejscowych szkół średnich.

Po przemówieniach powitalnych p. Józef Obuchowski, profesor miejscowego gimnazjum i opiekun Koła Krajoznawczego w Pińsku, wygłosił interesujący odczyt o Polesiu, po czym Zjazd rozbił się na grupy wycieczkowe, które zwiedzały osobliwości Pińska, szczególnie interesując się odbywającym się targiem na rynku i rzece Pinnie. Doskonałymi przewodnikami byli członkowie miejscowego Koła Krajoznawczego Młodzieży.

Po południu uczestnicy Zjazdu udali się statkami wzdłuż rzeki Piny do wsi Horodyszcze, gdzie zetknęli się z wielką ludnością Polesia.

Następnie w sali zjazdowej odbyła się wieczornica, której program wypełnił chór gimnazjalny, śpiewając pieśni, oparte na motywach poleskich, oraz Żeńskie Koło Młodzieży Krajoznawczej, ilustrując pieśnią ciekawą prelekcję o obyczajach weselnych okolic Tarnowa.

Wieczornicę zaszczylił swą obecnością bawiący w Pińsku wojewoda poleski, p. de Tramecourt.

Na drugi dzień uczestnicy Zjazdu podzielili się na dwie grupy. Grupa opiekunów Kół Krajoznawczych Młodzieży obradowała pod przewodnictwem prezesa P. T. K., p. sen. Beczkowicza, przy współudziale prof. L. Węgrzynowicza, młodzież zaś obradowała oddzielnie pod przewodnictwem p. Zofii Koźlińskiej, członkini Koła w Wilnie. W obradach młodzieży wziął udział p. K. Staszewski, sekretarz Zarządu Głównego P. T. K.

Obrady ujawniły głębokie zrozumienie idei krajoznawczej przez młodzież, która wykazała dobrze rozwinięty zmysł organizacyjny, wiele zapału i wiary.

Z wniosków, uchwalonych przez młodzież, wymienić należy poparcie akcji Zarządu Głównego P. T. K., zmierzającej do skierowania ruchu wycieczkowego młodzieży na Pomorze, wezwanie do popierania »Orlego Lotu«, które to pismo walczy przyczynia się do pogłębiania prac krajoznawczych na terenie Kół, zwrócenie uwagi na potrzebę prowadzenia przez młodzież krajoznawczą P. T. K. badań stosunków społeczno-gospodarczych na swoim terenie oraz liczne wnioski natury organizacyjnej.

Zjazd podkreślił wielką potrzebę wprowadzenia przez Ministerstwo Komunikacji daleko idących zniżek kolejowych dla 5-o osobowych wycieczek krajoznawczych młodzieży, oraz wezwał do rozpisanie konkursu na ogólnopolską pieśń krajoznawczą dla młodzieży.

Po zamknięciu obrad uczestnicy Zjazdu zwiedzili wystawę prac krajoznawczych Kół oraz muzeum regionalne w Pińsku, po czym w licznych grupach rozjechali się na zwiedzanie Polesia.

Liczni goście, biorący udział w Zjeździe, z uznaniem podkreślali celowość i użyteczność prac Kół Krajoznawczych Młodzieży P. T. K. i zwracali uwagę na konieczność wszechstronnego jej poparcia przez władze państwowe i społeczeństwo.

MINISTERSTWO W. R. i O. P. W SPRAWIE RUCHU KRAJOZNAWCZEGO WŚRÓD MŁODZIEŻY SZKOLNEJ wydało okólnik (nr 66 z 8.VII.37 N II W-4412/37) do wszystkich kuratoriów szkolnych, w którym, nawiązując do okólnika nr 90 z dnia 22 października 1935 r. (I Pol-1251/35), zwraca uwagę na wysokie wartości naukowe i wychowawcze ruchu krajoznawczego wśród młodzieży. Wszak wycieczki krajoznawcze wybitnie umożliwiają nauczycielstwu obserwację młodzieży poza murami szkoły i dają dużo sposobności do oddziaływania wychowawczego, a młodzież uczy na konkretnych i realnych przykładach organizacji zespołowych przedsięwzięć. Wycieczki krajoznawcze pogłębiają i uzupełniają w myśl obowiązujących programów wiedzę nabytą w szkole, zwłaszcza zaś wiadomości z geografii, przyrody i kultury polskiej, a zmuszając do pokonywania trudności, wzmacniają tężyznę fizyczną przez zaprawianie do dłuższych marszów i znoszenia niewygód. Na krajoznawcze wycieczki bliższe i dalsze oraz na obozy letnie po-

winny być szczególnie wyzyskane przez szkoły okresy wiosenny, letni i jesienny. Dlatego planowa, na szereg lat z góry ustalona praca w tym kierunku powinna przyczynić się do rozbudzenia w młodym pokoleniu umiłowania wędrówek po kraju rodzinnym i do krzewienia tą drogą miłości ziemi ojczystej.

W pracy nad podniesieniem ruchu krajoznawczego wśród młodzieży dużą pomoc mogą mieć dyrekcje i kierownictwa szkół w należycie zorganizowanych szkolnych kołach krajoznawczych, których organem jest wydawany w Krakowie miesięcznik »Orli Lot«.

Ministerstwo przypomina opiekunom Szkolnych Kół Krajoznawczych obowiązek zgłoszenia swego akcesu do Komisji Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego celem rejestracji kół i współpracy. Siedzibą Komisji jak i redakcji »Orlego Lotu« jest Kraków (Oleandry 4, Miejski Dom Wycieczkowy). W tych Okręgach Szkolnych, na terenie których istnieją Sekcje Okręgowe Komisji, lub przewidziane w większych miastach miejscowe Koła Opiekunów Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej, zgłoszenia powinny być dokonane przez odpowiednie niższe jednostki organizacyjne.

Kuratoria, podając niniejszy okólnik do wiadomości dyrekcjom i kierownictwom szkół, mają zwrócić uwagę na potrzebę należytego uwzględniania ruchu krajoznawczego w planach pracy szkół na najbliższy rok szkolny i lata następne z zastrzeżeniem, aby to nie wpłynęło ujemnie na realizację programu nauki.

PAMIĘCI LUDWIKA NARBUTTA. Oddział P. T. K. w Lidzie zorganizował Komitet Uczczenia Pamięci Ludwika Narbutta. Na ukończeniu znajduje się tablica pamiątkowa, której odsłonięcie nastąpi w Lidzie. Rada miejska odbędzie tego dnia uroczyste posiedzenie, na którym jedna z ulic miasta będzie nazwana imieniem Narbutta. Komitet postanowił wydać biografię Ludwika Narbutta i jego towarzyszy w powstaniu 1863 roku. Protektorat nad uroczystościami objął Naczelny Wódz Marszałek Edward Rydz-Śmigły, honorowy obywatel Lidy.

PIĘKNO KRAJOBRAZU POLSKI. Oddział Lwowski P. T. K. organizuje w czasie od 3.X — 7.XI.1937 we Lwowie w gmachu Izby Przemysłowo-Handlowej (ul. Akademicka 19) wystawę fotografii: »Piękno krajobrazu Polski«. Komitet Wystawy pragnie pozyskać prace, charakteryzujące wszystkie krainy geograficzne Polski.

Według regulaminu — tematem Wystawy jest: polski krajobraz i człowiek w krajobrazie. Do Wystawy będą dopuszczane jedynie technicznie nienaganne prace, odnoszące się artystycznym ujęciem tematu. Termin zgłoszenia udziału w Wystawie 10 września, termin nadsyłania prac 20 września br.

Wszelkich informacji udziela: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze—Oddział Lwowski, Lwów, ul. Bourlarda 5, I p.